

DUŻYFORMAT

NR 19/1532

MAGAZYN REPORTERÓW

22 MAJA 2023



Reportaż Łukasza Oplątka o rozwodach na starość

TAK, NIE KOCHAM

MARCIN WÓJCIK

PRÓBUJE ZAPISAĆ SIĘ DO PARTII.
KTO NIE WPUSZCZA,
A KTO WYZNACZA DNI PRÓBY?

2

ALEKSANDRA ZBROJA

PYTA SZYMONA OPRYSZKA,
KIEDY ZABRAKNIE
NAM WODY

9

URSZULA JABŁOŃSKA

W PONTEDERZE
SKOŃCZYŁA SIĘ WOLNOŚĆ,
AKTORZY ODESZLI

12

RYŚ. BARBARA NIEWIADOMSKA

Jak wstępowałem do partii od lewa do prawa

Chcą wyborców,
A NIE CZŁONKÓW

- Mam zdecydować za żonę?
- Pan jest głową rodziny.
- Ale jak się uprze przy Hołowni?
- Lepsze to, niż miałyby iść do Kaczyńskiego

Próbuję zapisać się do partii. W Nowej Lewicy częstują mnie krówką ciągutką. W PO nie chcą mnie wpuścić. W Suwerennej Polsce każą mi odpowiedzieć na pytanie, ile jest 8 plus 3. W PiS obiecują, że z nimi stanę się lepszym człowiekiem.

NOWA LEWICA:
Przyda się każdy nowy

Żeby wstąpić do Nowej Lewicy, muszę wypełnić deklarację i mieć pisemną rekomendację od co najmniej jednego członka partii. O przyjęciu zdecyduje uchwała, nie później niż trzy miesiące od złożenia deklaracji.

Jako członek w swoim postępowaniu mam kierować się Kartą Zasad Etycznych Nowej Lewicy. O to, co miałyby to znaczyć w moim życiu, próbuję się dowiedzieć w biurze regionu podlaskiego w Białymstoku.

- Dzień dobry, chcę się zapisać do partii.
- Zapraszamy, proszę siadać – słyszę.
- Ale nie wiem, czy kieruję się w codziennym życiu Kartą Zasad Etycznych Nowej Lewicy.
- Chodzi pan na procesje z proboszczem?
- Nie.
- Religię w szkole pan popiera?
- Nie.
- Jeździ pan na miesięcznice smoleńskie z Kaczyńskim?
- Nie.
- Witamy w lewicy.
- Ale nie mam rekomendacji.
- Już masz.

Rozmowę kieruję na Leszka Millera, który wprowadzał Polskę do Unii. Czuję, że jest on tematem niechcianym: „bo wygłupił się, wystawiając na prezydenta Magdalenę Ogórek, a teraz mamy czas Czarzastego, który ma pakiet rozwiązań dla Polski”.

Do biura wchodzi poseł Paweł Krutul. Wyciąga z torby garść krówek z logo Sejmu i każe się częstować.

- Przynajmniej to się im udało – mówi z krówką w ustach.
- Panie pośle, bo ja chcę do partii.

– Świetnie, przyda się każdy nowy. Jedziemy na 1 maja do Warszawy. Zbieramy autobus. Zapraszamy.

- A poza tym, co miałbym robić w partii?
- Proszę zostawić numer telefonu, będziemy dzwonić przy okazji protestów, marszów, wyjazdów do Warszawy. Mamy spotkania tematyczne. Można przyjść i posłuchać, im więcej ludzi przyjdzie, tym lepszy obraz partii.

Dostaję formularz do wypełnienia. Mam się zapoznać na miejscu.

- I co, wypełnił pan już? – pyta poseł.
 - Wezmę do domu i w spokoju przeczytam.
- Nowa Lewica ma 20 tys. członków.

RAZEM:
Dni próby

W Razem podpisanie deklaracji członkowskiej rozpoczyna 90 dni próby. W tym czasie należy brać udział w spotkaniach tematycznych w siedzibie partii, chodzić na protesty, roznosić ulotki. Władze zadecydują, czy kandydat się nadaje.

Jerzy Gozdek zapisał się jesienią 2021 roku. Wypełnił formularz, przyszło zaproszenie, dostał tutora, z którym rozmawiał o założeniach i o tym, co chciałby wnieść do partii. Jerzemu – jako inżynierowi od sterowania ruchem drogowym – najbliższy jest transport.

- A konkretnie wsparcie transportu publicznego i zrównoważona mobilność. Dlatego pomagam w przygotowywaniu opracowań dotyczących transportu, choćby na najbliższe wybory samorządowe w Warszawie.

– Czyli wystawicie swojego kandydata na prezydenta?

- Tu muszę powiedzieć „pomidor”.
- PiS też stawia na mobilność, budując szybką kolej i lotnisko – mówię.

– Ale ich pomysły nie są zrównoważone, ingerują w środowisko i nie rozwiązują problemów komunikacyjnych, nastąpi niepotrzebna centralizacja sieci transportowej. A na taki przekop Mierzei Wiślanej poszło dwa miliardy złotych. Inwestycja zwróci się za kilkadziesiąt lat. A można było za te pieniądze zrobić

linię metra w Krakowie, co natychmiast przyniosłoby znacznie większe korzyści.

- W Razem są składki?
- Deklarowane, czyli każdy sam ustala, ile co miesiąc może wpłacić.

Do Razem w zeszłym roku zapisała się Paulina Keller z Warszawy. Wysłała formularz, przydzielono jej tutora, raz w miesiącu chodziła na spotkania tematyczne.

- Myślałam od dawna o tej partii. Jest mi do niej najbliższy poglądowo. Zapisałam się, jak tylko wróciłam ze studiów za granicą.

– Co pani studiowała?

– Architekturę. Uczestniczę w opracowywaniu zagadnień związanych z mieszkalnictwem społecznym i państwowym. Bliska mi jest także idea „piętnastominutowego miasta”, czyli tworzenia miast z łatwo dostępną infrastrukturą – urzędy, sklepy, opieka zdrowotna, szkoły. Chcę dać Razem swoją wiedzę na te tematy.

Razem ma 3100 członków.

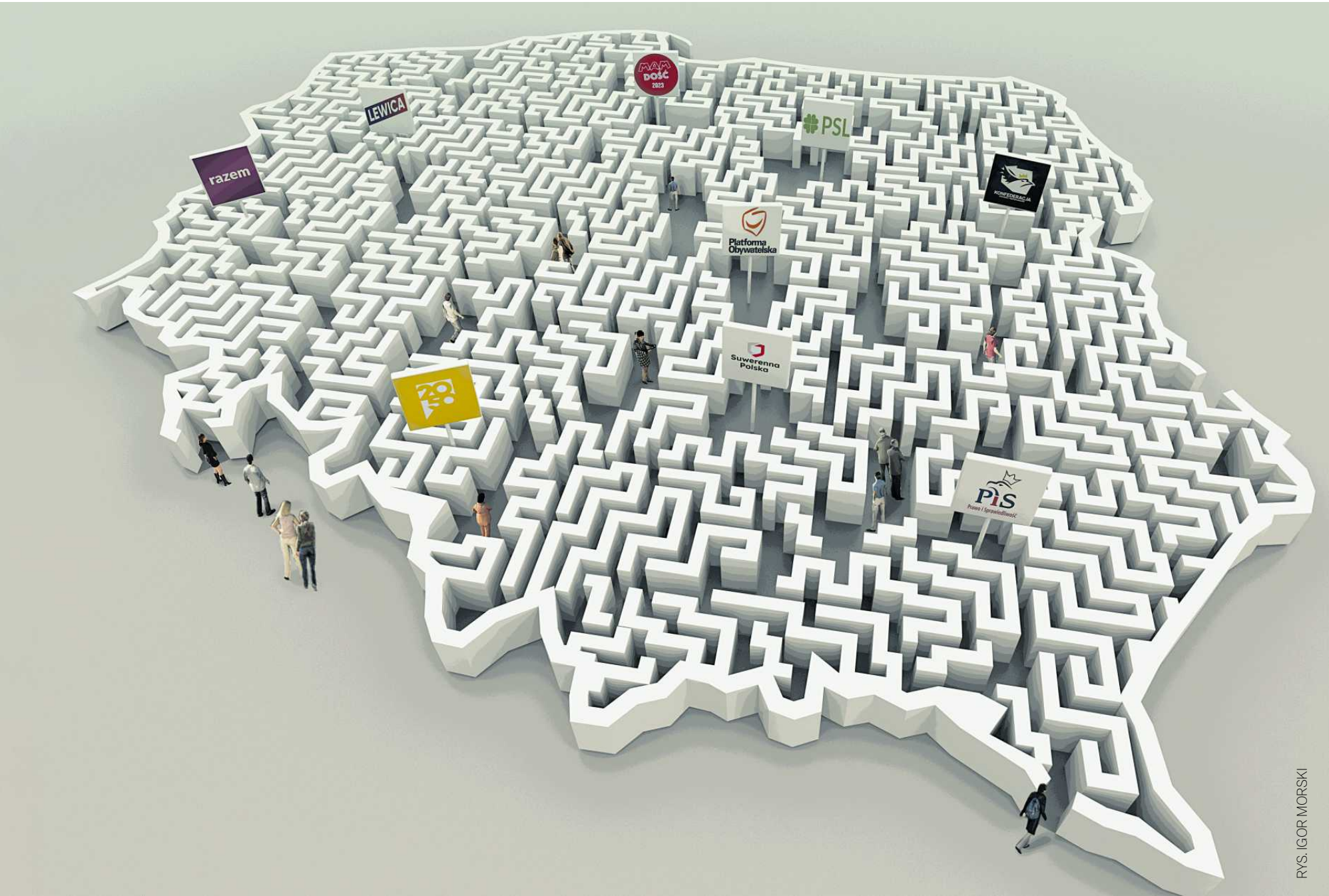
PLATFORMA OBYWATELSKA:
Ma pan WhatsAppa?

PO ma 38 tys. członków. Na partyjnej stronie w internecie czytam, że wystarczy cztery kroki, aby zapisać się do nich: wypełnić wniosek, deklarację członkowską, czekać na kontakt z biura regionalnego, wziąć udział w zebraniu. Nie czekam na kontakt, tylko jadę do biura w Białymstoku, żeby porozmawiać, w jaki sposób zweryfikują moją „nieposzlakowaną opinię”, której wymagają, i co to znaczy, że muszę „postępować zgodnie z założeniami partii”.

Siedzibę mają przy ul. Malmeda. Wciskam dzwonek. Nikt nie otwiera. Wracam po godzinie. Cisza. Dzwonię jeszcze przed 15. Cisza. Nikt też nie odpowiada na kartkę w drzwiach z telefonem i adresem mailowym: „Bardzo proszę o kontakt. Chcę się zapisać do Platformy”.

Wysyłam maila do władz głównych w Warszawie. Nikt nie odpowiada. Jadę. Siedziba partii jest przy ul. Wiejskiej. Portier mówi, że nie wpuści mnie na górę, jeśli nie mam zaproszenia, i jest zdziwiony, że o to proszę.

MARCIN
WÓJCIK



RYS. IGOR MORSKI

– Ale ja chciałem się dopiero zapisać, skąd mam mieć zaproszenie?
– Nie mój problem. Mam nikogo nie wpuszczać. Wychodząc z portierni, spotykam posła Marcina Kierwińskiego.
– Panie pośle, ja chciałem do partii się zapisać, a nie mogę wejść.
– Nie może pan tak z ulicy przyjść. Proszę wypełnić formularz, jest na naszej stronie. Może go pan zostawić na portierni na moje nazwisko i ja przekażę dalej.
– A jak sprawdzicie, czy mam nieposzlakowaną opinię?
– A nie ma pan?
Próbuję jeszcze w Lublinie. Siedziba zarządu regionu jest przy placu Unii Lubelskiej.
– Dam deklarację i od razu proszę wypełnić – słyszę w sekretariacie. – Chociaż najlepiej byłoby, gdyby poszedł pan z deklaracją do biura posła Marty Wcisło. Prowadzi najaktywniejsze koło w regionie. Pani poseł ma ważny głos w podejmowaniu decyzji o przyjęciu nowych członków, za jej wiedzą to się dzieje.
Biuro posła Marty Wcisło jest na Krakowskim Przedmieściu.

– Pani poseł nie ma, jest na spotkaniach otwartych z mieszkańcami w Nowym Sączu i Mszanie Dolnej. Można u mnie zostawić deklarację – mówi asystent.
– Co miałbym robić, będąc członkiem PO?
– Ma pan WhatsAppa? Będę wysyłał informacje o naszych wewnętrznych spotkaniach, wyjazdach na protesty, rocznice, na 4 czerwca zbieramy autobus do Warszawy. Zapisać pana?
– Zastanowię się chwilę.
– Mam jeszcze pytanie – asystent zmienia ton, jakby chciał zaznaczyć, że zaraz będziemy rozmawiać na zupełnie inny temat. – Prowadzimy wewnętrzne badanie rozpoznawalności. Czy kojarzy pan poseł Martę Wcisło?

KONFEDERACJA:
Kolega prezes zaprosi

Konfederacja ma swoje biuro regionalne w Białymstoku przy Grochowej. Na ścianie ktoś sprayem napisał: „Folksdojce”. Czynne tylko w czwartki od 18 do 20, jak przeczytałem na stronie internetowej. Nikogo jednak nie ma. Czekam jeszcze pół godziny,

ale biuro nadal zamknięte. Być może dlatego, że właśnie zaczęło się spotkanie otwarte z Robertem Winnickim w Suwałkach.
W biurze Ruchu Narodowego w Warszawie dostaję kontakt do tych, którzy zapisali się w ostatnich miesiącach.
Piotr Lechowicz wstąpił w listopadzie 2022 roku, mieszka pod Warszawą, pracuje w wynajmie samochodów.
– Wypełniłem formularz i zostałem zaproszony na rozmowę z kolegą prezesem koła warszawskiego. Mówię „kolegą”, bo my mamy taki zwyczaj, że zwracamy się do siebie per kolega, koleżanka. Kolega prezes pytał mnie, dlaczego akurat Ruch Narodowy.
– Dlaczego?
– Wspiera wartości tradycyjne. Czci takie święto jak Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Sprzeciwia się rozbudowanym podatkom. Ma dobrze zorganizowane struktury. Jest jeszcze Nowa Nadzieja i Korona pana Brauna, ale Ruch Narodowy jest mi bliższy. Od lat mam tu kolegów. Chodziłem z nimi na warszawskie Marsze Niepodległości 11 listopada.
– Rzucił pan kostką brukową w tych, którzy myślą inaczej?
– To bzdury. Rzucali prowokatorzy, którzy później chowali się za plecami policji.
– I został pan przyjęty zaraz po rozmowie z kolegą prezesem?
– Nie jako członek, ale kandydat. Średnio pół roku trwa okres kandydacki. Właśnie go skończyłem i zostałem członkiem.
– Ma pan obowiązki w partii?
– Raz w tygodniu są spotkania tematyczne, na które przychodzę. Podczas jednego ze spotkań referowaliśmy prezentację na temat podatków. Brałem czynny udział w konsultacjach społecznych dotyczących projektów Tempo 30 oraz Strefy Czystego Transportu w Warszawie. Czcimy wydarzenia historyczne, w ramach tych działań składałem kwiaty w rocznicę zbrodni katyńskiej.
– Są składki?
– 15 złotych miesięcznie lub 150 złotych jednorazowo na cały rok.
– Nie przeszkadza panu stosunek Ruchu Narodowego do niektórych mniejszości, choćby do osób LGBT?

*Nie znajdzie pan tu nigdzie
biura ziobrystów.*

I my nie jesteśmy aż tak antyunijni

i niezaszczepionych, ograniczanie działalności gospodarczej, co doprowadzało do bankructw. W Ruchu Narodowym stawia się na wolność – wolność słowa, wolność gospodarczą, wolność narodu. Podoba mi się postulat powszechnego dostępu do broni, co zwiększyłoby nasze bezpieczeństwo. Z tą partią chcę zmieniać Polskę, ale w duchu cywilizacji łacińskiej.

– A jak widzi pani siebie w partii? Wystartuje pani do Sejmu?

– Będę aktywnie działać w kampanii wyborczej – upowszechniać nasze idee, docierać do wyborców z postulatami programowymi. Co do najbliższych wyborów parlamentarnych start muszę poważnie rozważyć, bo na jesieni moja rodzina powiększy się o kolejnego młodego Polaka. Zamierzam kandydować w wyborach samorządowych, by osobiście zatroszczyć się o stolicę narodu. Konfederacja nie podaje, ilu ma członków.

POLSKIE STRONNICTWO LUDOWE:

Mam przyprowadzić żonę

Od wstąpienia do PSL dzielą mnie „trzy proste kroki”: wypełnij deklarację, odszukaj koło, zgłoś deklarację. Jadę na spotkanie do koła podlaskiego przy ul. Sienkiewicza w Białymstoku. Dzwonię. Cisza. Na drzwiach kartka, czytam: „Przyszłaś/ przyszedłeś do biura zarządu wojewódzkiego PSL w Białymstoku? Na domofonie wybierz 10. Nikt nie otwiera – nie ma nas. Pewnie jesteście w terenie. Zadzwoń do biura posła Stefana Krajewskiego – domofon 9”. Dzwonię. Mężczyzna, który się nie przedstawił, informuje mnie, że w biurze wojewódzkim nikogo nie ma, bo musieli wyjechać.

Dzwonię do biura prasowego przy ul. Pięknej w Warszawie, by porozmawiać o warunkach wstąpienia do PSL. Przez kilka dni nikt nie odbiera telefonu. Pod tym samym adresem jest Naczelny Komitet Wykonawczy. Dzwonię. Odbiera kobieta.

– Tam do prasowych to się pan nie dodzwoni, szkoda czasu, nie ma nikogo. Podam numer bezpośrednio do dyrektora Marcina Horynia z Naczelnej Rady.

Marcin Horyń mówi, że najłatwiej będzie, jeśli skontaktuję się z rzecznikiem prasowym partii Miłoszem Motyką – pomoże mi znaleźć nowych członków i opowie o procedurze wstępowania.

Rozmawiam z rzecznikiem. Proszę o kontakt do osób, które w ostatnich miesiącach zapisały się do PSL. Obiecuję, że jeśli takie znajdzie, to oddzwoni. Nie oddzwonił.

Próbuję sam zapisać się w Lublinie. Biuro PSL jest przy Kapucyńskiej. To nowy budynek – kilka gabinetów, sala konfe-

rencyjna. Idę do gabinetu, w którym słyszę rozmowę.

– Chciałem zapisać się do partii – mówię.

– Przydałby się ktoś, kto pana poleca – mówi dyrektor biura.

– Nie mam nikogo takiego, nie interesowałem się wcześniej polityką. Pomyślałem, że może i rozsądne jest połączenie Kosińskiego-Kamysza z Hołownią. Ale w moim małżeństwie narasta konflikt, bo żona chce głosować za Hołownią, a ja za Kosiniakiem-Kamyszem – wymyślam.

– Jestem konserwatystą. Uważam, że to głowa rodziny decyduje – mówi dyrektor.

– Czyli mam zdecydować za żonę?

– Pan jest głową rodziny.

– Ale jak się uprze przy Hołowni?

– Lepšie to, niż miałyby iść do Kaczyńskiego.

– A czym wy się różnicie od Hołowni?

– My się znamy na wsi, on bazuje na naszym doświadczeniu.

– A wy co z niego macie?

– Poparcie miast.

Dostaję dwie deklaracje i pierwsze zadanie: mam zebrać podpisy za ustawą „Uczciwa Polska”, w niej mieszczą się takie postulaty jak: dziedziczenie emerytur, 100 tysięcy od państwa na zakup mieszkania, zwolnienie z podatków w przypadku nadgodzin i drugiej pracy.

Kilka lat temu PSL deklarowało, że ma 100 tys. członków. Głównie rolników.

POLSKA 2050: Dopiero się otwierają

Ma ponad 700 członków. Żeby się zapisać, najpierw muszę wysłać deklarację członkowską i czekać na telefon sekretarza koła, który zadzwoni w ciągu 14 dni. Objaśni mi procedurę, która może potrwać nawet dwa miesiące.

Polska 2050 również ma biuro w Białymstoku. Czynne od poniedziałku do piątku w godzinach 11-17, jak czytam na stronie internetowej. Biuro jednak jest zamknięte. Pytam ekspedientkę w kawiarni obok, czy ktoś tu w ogóle się pojawia.

– Rzadko. Jeśli się pojawiają, to wieczorami lub w sobotę rano, za dnia nie ma nikogo. Ostatnio naklejali na szyby logo partii. Może z logo będą otwarci częściej.

– Zapisze się pani do nich?

– Nie mam kiedy. Zresztą nie dla mnie polityka.

W Polsce 2050 Szymona Hołowni działa Mikołaj Dorożala z Łódzkiego – kilkanaście lat temu był miejskim radnym.

Razem z żoną byliśmy zmęczeni i rozczarowani wojną polsko-polską. Budowaliśmy dom, byliśmy wyczerpani głupią biurokracją, w wielu miejscach dostrzegaliśmy, że to państwo nie działa tak, jak powinno. Pamiętam ten moment, gdy kiedyś w księgarni natknęliśmy się na „Teraz albo nigdy” Szymona Hołowni. Postanowiliśmy zaangażować się w jego kampanię prezydencką, zostaliśmy wolontariuszami. Po wyborach zdecydowaliśmy o dalszym zaangażowaniu społecznym, już w ramach ruchu Polska 2050. Praca w kampanii uświadomiła nam, że nasza praca realnie zmienia Polskę na

lepsze – centymetr po centymetrze, zależało nam na tym, żeby te działania kontynuować. Moja żona wymyśliła na przykład, że będzie szyc woreczki na warzywa ze starych firanek, które zbierała po osiedlach. Rozdawaliśmy je potem w kilku powiatach. Po utworzeniu partii postanowiłem moje dotychczasowe doświadczenie przekuć w działalność polityczną, dlatego wystąpiłem do Polski 2050. Żona na ten moment nie jest członkinią partii, ale nadal działa społecznie w Stowarzyszeniu Polska 2050. Wspieram obie inicjatywy, miesięcznie przeznaczając 20,50 zł na działalność stowarzyszenia i 60 zł na konto partii.

MUR MORAWIECKIEGO

Rozmawiam z politolog Małgorzatą Myśliwiec z Uniwersytetu Śląskiego.

– Jaka ustawa reguluje finansowanie partii?

– Artykuł 25 ustawy o partiach politycznych z 1997 roku. Osoba fizyczna – nie musi być członkiem partii – może wpłacić roczne piętnastokrotność najniższej krajowej, czyli na dzisiaj 52 350 zł. Nie może być więcej, aby bogaci nie kupowali partii. Oprócz tego są składki członkowskie, a te określa partia. Najczęściej szeregowy członek płaci najmniej, kilka, kilkanaście złotych, po kilkadziesiąt i kilkaset płacą ci, którzy dzięki poparciu partii zdobywają funkcję: radnego, wójta, burmistrza, prezydenta. W PiS 5-10 zł dla emeryta i studenta, 80 zł dla radnego miejskiego, 100 zł dla radnego wojewódzkiego, 200-300 zł dla wójta, burmistrza, prezydenta.

– Czy partie mogą mieć tak po prostu zamknięte biura regionalne, do których najbliżej mają wyborcy?

– Absolutnie nie, to nieetyczne. Nazwałabym to brakiem kultury politycznej. Jeśli coś jest utrzymywane ze środków publicznych, to powinno działać. Tam przecież z pieniędzy podatników są zatrudnieni asystenci, dyrektorzy, a ich obowiązkiem jest być dostępnym w godzinach pracy biura. Jaki to przykład dla innych budżetowych instytucji. Ale trudno wymagać aż tyle od partyjnych biur regionalnych, kiedy zamknięte jest biuro samego posła Mateusza Morawieckiego w Katowicach. Związkowcy z Sierpnia '80 przywieźli betoniarke i pustaki, chcieli zamurować biuro Morawieckiego, bo i tak jest zamknięte, jednak akcję przerwała policja.

– Zapisujemy się do partii czy niechętnie?

– Po latach PRL-u Polakom przynależność do partii politycznych nie kojarzy się dobrze. To może być pierwsza przyczyna niechęci formalnej przynależności do ich struktur. Drugim czynnikiem zniechęcającym może być wysoki stopień ustrojowej centralizacji państwa. Ujmując to wprost: szeregowy członek partii zazwyczaj nie ma niczego ciekawego do zrobienia. Posiadanie legitymacji partyjnej oraz uiszczanie obowiązkowych składek samo w sobie nie jest szczególnie atrakcyjne.

Większe zainteresowanie przynależnością do partii obserwujemy w okresie przedwyborczym. Wówczas obywatele zainteresowani kandydowaniem chętniej wnioskują o sformalizowanie politycznych sympatii, choć głównie w szeregach największych partii, mających realne szanse na mandaty. Podobne zjawisko widzimy tuż po wyborach. Dotyczy ono wówczas szczególnego zainteresowania partią lub partiami zwycięskimi, które na szczeblu centralnym mogą liczyć na podział politycznych łupów. Ale czas partii masowych w Europie minął. Dziś partie to głównie maszyny wyborcze, którym potrzeba wyborców, a nie członków.

MAM DOŚĆ: Pan jest z „Wyborczej”

Do Mam Dość Marianny Schreiber wystarczy wysłać pocztą formularz, w nim dane adresowe i PESEL. Można dołączyć kartkę

– A jaki jest? Mnie osoby LGBT nie przeszkadzają, nawet znam takie. Nie zgadzamy się tylko na małżeństwa i adopcję dzieci. A poza tym niech sobie żyją, jak chcą.

Członkiem Ruchu Narodowego zostanie zaraz Agnieszka Sowińska z Warszawy. Zapisała się w zeszłym roku, przekonała ją spotkanie otwarte z Krzysztofem Bosakiem.

– Wysłałam formularz i zostałam zaproszona na rozmowę. Były pytania o znajomość programu, czy działałam w innych partiach i co chciałabym robić w ruchu. Podoba mi się, że już jestem pytana o zdanie, na przykład w temacie edukacji alternatywnej, bo tym się zajmuję zawodowo. Staram się być na cotygodniowych spotkaniach tematycznych i wtedy mój partner – również popierający Konfederację – zajmuje się dziećmi. A tyle się mówi, że nasi mężczyźni spychają kobiety do kuchni i dzieci. Przecież warszawski Ruch Narodowy to około 15 procent kobiet.

– Co panią przyciągnęło?

– Wartości chrześcijańskie, choć nie jestem katoliczką, tylko ewangeliczką.

– W innych partiach nie ma tych wartości?

– PO je miała, ale zmienili zdanie, choćby w sprawie aborcji. PiS przegrał totalnie, zabierając ludziom wolność w czasie pandemii: zamykanie dzieci w domach, segregacja nauczycieli na zaszczepionych

– *Pan chce się zapisać?*

Trzeba zadzwonić do posła

Arkadiusza Mularczyka,

który robi pierwszą weryfikację

z opisem tego, czego w życiu społeczno-politycznym mamy dość.

Mam Dość jest na Facebooku. Piszę tam, że chciałbym porozmawiać o tym, jak się do nich wstępuje. Zaraz dostaję wiadomość z numerem pani prezes.

– Jesteście partią? – pytam Marianę Schreiber.

– Czekamy na pismo z sądu. Spełniliśmy wszystkie wymagania.

– Ilu macie członków?

– Około 250.

– Czego mają dość?

– Najczęściej wyniszczającej kraj wojny między PiS a PO.

– Są składki?

– Nie ma.

– Zaraz po wysłaniu zgłoszenia zostaje się członkiem?

– Nie, jest jeszcze weryfikacja, szczególnie przyglądamy się tym osobom, które przychodzą do nas z innych partii. Nie chcemy powtarzać błędów Szymona Hołowni: widzimy, że jego posłowie reprezentują czasem bardzo różne poglądy i trudno je pogodzić w nowej partii. I pojawia się pytanie, dlaczego zmieniają barwy w trakcie kadencji. Zawiedzione nadzieje? Rozczarowanie? Wypalenie? Najczęściej osoby przychodzące do nas z innych partii bądź ich byli członkowie mają za sobą doświadczenia w Koalicji Obywatelskiej bądź PiS.

– Pani się przygląda kandydatom?

– Najczęściej. Chcę się spotkać z każdym. Jest zaproszenie na rozmowę i jeśli przebiegnie pozytywnie, to zapraszam do wspólnego działania. Zadania są różne, to zależy od tego, na czym kto się zna, co robi zawodowo. Dla mnie ważne jest, czy kandydat się angażuje i jakim jest człowiekiem. Teraz przygotowujemy się do wyborów; próbujemy też ustalić, kto zawinił w historii Kamilka zakatowanego przez ojczyrna, by to się nigdy nie powtórzyło.

Z prezes Schreiber rozmawiam jeszcze o programie partii: reformie sądownictwa i szkolnictwa, o niekaraniu za posiadanie marihuany i legalizacji małżeństw osób LGBT.

– Proszę na chwilę zapomnieć, że jestem dziennikarzem „Wyborczej”. Do jakiego zadania skierowałaby mnie pani, gdybym chciał się zapisać dzisiaj do Mam Dość?

– Nie jestem w stanie zapomnieć, że jest pan z „Wyborczej”. Żeby chociaż był pan z „Do Rzeczy”.

SUWERENNA POLSKA: Przyjmuje tylko maile

Suwerennej Polsce wysyłam trzy maile: do regionu mazowieckiego, do regionu podlaskiego i poprzez ich partyjną stronę z zakładki „Napisz do nas”. W tym ostatnim mailu pytam: „Jak można się zapisać do partii? Jakie są warunki członkostwa?”. System każe mi jeszcze odpowiedzieć na pytanie, ile jest 8 plus 3, odpowiadam, wysyłam.

W deklaracji czytam: „Chcieliśmy Polski dla zwykłych Polaków, tych słabszych, pomijanych. A nie dla przestępców i wpływowch elit.

Nie pozwolimy na demoralizację najmłodszych, adopcję dzieci przez pary homoseksualne.

Nie zgadzamy się na upokarzanie ludzi wierzących i atak na Jana Pawła II.

Nie zgadzamy się, by Unia Europejska bezprawnie wpływała na nasze sądownictwo”.

Dostaję odpowiedź z Biura Krajowego Suwerennej Polski: „W celu przystąpienia do partii należy wypełnić ankietę członkostwa oraz po podaniu miejsca zamieszkania, telefonu kontaktowego oraz e-maila, skontaktuje się z Panem pełnomocnik na Pana okręg”.

W Lublinie idę jeszcze do biura posła Jana Kanthaka – może on mnie zapisze. Niestety, biuro zamknięte.

PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ:

Na biurku prezesa

PiS ma 45 tysięcy członków. Na stronie partii klikam w zakładkę „Wstąp do PiS”. Czytam, że członkiem nie może być osoba, której cele są sprzeczne z zasadami ideowymi i programem oraz osoba całkowicie lub częściowo ubezwłasnowolniona; która popełniła przestępstwo z niskich pobudek albo przeciwko której został skierowany akt oskarżenia o przyjęcie lub wręczenie korzyści majątkowej; która działa na szkodę PiS.

Chcę się dowiedzieć, jak rozumieją przestępstwo z niskich pobudek i czy pobudki wysokie również eliminują kandydata. No i co znaczy działa na szkodę partii.

Najpierw muszę zrobić – jak czytam – „trzy proste kroki”: wypełnić ankietę, wybrać okręg, wysłać ankietę do pełnomocnika okręgu. W ankiecie pytania o adres, wykształcenie, pracę obecną i poprzednią, znajomość języków i inne umiejętności.

Nie wysyłam ankiety, tylko jadę do biura w Białymstoku przy ul. Stołecznej. Na korytarzu wisi informacja, że oprócz regionu swoje biura mają tu poseł Dariusz Pionkowski i senator Mariusz Gromko.

Pukam do drzwi regionu – nikt nie otwiera. Ciągnę za klamkę – zamknięte. Może poseł Dariusz Pionkowski jest w swoim gabinecie obok i przyjmie mnie do partii? Pukam do Pionkowskiego. Słyszę „proszę”. Sekretarka mówi, że kolega z regionu musiał jechać w pilnej sprawie do Sokółki, a pan poseł nie zajmuje się przyjmowaniem do partii.

– Ale mogę panu przekazać formularz członkowski – mówi sekretarka.

– Poproszę.

– Nas cieszy każdy, kto myśli podobnie jak my.

– Jak to sprawdzacie?

– Wystarczy, że pan wypełni formularz.

– A jeśli mam trzecią żonę i tego nie napiszę?

– To nas nie interesuje.

– A jeśli przyszedłem na przeszpiegi z Platformy Obywatelskiej?

– To będąc wśród nas, stanie się pan lepszym człowiekiem.

W Lublinie biuro regionu jest w kamienicy przy Królewskiej.

– Dzień dobry, chciałem się zapisać do partii.

– Zapraszam – mówi dyrektor biura. Siedzimy w ciasnym pokoju. Na ścianie kalendarz z Jarosławem Kaczyńskim.

– Wie pan co, bo ja jeszcze rozważam – PiS czy Suwerenna Polska.

– Nie znajdzie pan nigdzie biura ziobrystów, nie wiem, jak tam się ludzie zapisują. I my nie jesteśmy aż tak antyunijni jak Ziobro.

– Ale Ziobro jest młodszy od Kaczyńskiego, ma więcej politycznej energii.

– Kaczyński stworzył wielką, liczącą się partię w Europie, Ziobro tylko próbuje mu dorównać.

– Ale to w końcu koalicja, można tu i tu, jeden rząd reprezentujecie.

– Z Solidarnej Polski zmienili nazwę na Suwerenną Polskę, bo – jak uważamy – jesienią pójdą osobno do wyborów.

– To jak się mam do was zapisać?

– Już daję deklarację. Proszę wypełnić wszystkie pola i wkleić kolorowe zdjęcie.

– I co będę robił jako członek?

– Dam panu numer do szefa koła. Proszę się z nim skontaktować. Jak już pan się zapisze, to będzie pana informował o wszystkich wyjazdach, spotkaniach, akcjach.

Dzwonię jeszcze do biura posła Patryka Wichra w Nowym Sączu.

Odbiera kobieta.

– Pan chce się zapisać? Trzeba zadzwonić do biura posła Arkadiusza Mularczyka, który robi pierwszą weryfikację. Później dane kandydata idą do okręgu, a jak okręg się zgodzi, to idą do Warszawy, na biurko prezesa, żeby podpisał.

– Kaczyńskiego?

– Tak, jak już wszyscy pana zweryfikują, to ostateczną decyzję podpisze prezes Kaczyński. ●

Orliński

Lekarstwo na głupotę, czyli krótko o szczepionkach



Wróć do tematu szczepionek na COVID, bo ludzie mają krótką pamięć i widzę już internetowe teorie spiskowe odwołujące się do fałszowania przeszłości. To te, w których mowa o fałszowaniu albo nierzetelności badań klinicznych.

To tylko felieton, więc nie mogę tego opisać szczegółowo. Za to muszę to opisać krótko: a więc utrzymam uwagę czytelników, którzy po prostu nie wytrzymaliby długiego biochemicznego przynudzania. Kto za nim tęskni, niech sięgnie do prasy naukowej, na przykład do „Nature” z 24 marca 2023, gdzie ukazała się obszerna metaanaliza skuteczności szczepionek.

To prawda, że prace nad szczepionkami przyspieszono – bo w normalnych warunkach procedura potrafi trwać nawet i 10 lat. Dzięki skróceniu tego do roku udało nam się szybciej wrócić do normalności.

Co właściwie skrócono? Nie da się odpowiedzieć bez krótkiego wstępu opisującego typowy przebieg prac nad nowym lekiem (nie tylko szczepionką).

Najpierw mamy fazę przedkliniczną, która ma miejsce w laboratorium. Na jej podstawie firma biotechnologiczna przygotowuje wniosek o zgodę na rozpoczęcie pierwszej fazy badań klinicznych.

Nie bada się w niej skuteczności leku, tylko jego zachowanie w ludzkim organizmie, dlatego nazywa się to fazą zerową. Może się przecież okazać, że lek, który obiecująco wyglądał w laboratorium, jest jednak bezużyteczny w praktyce, bo na przykład za szybko się rozkłada w organizmie. Dział farmakologii zajmujący się takimi pytaniami nazywany jest farmakokinetyką.

Gdy się dowiemy, że lek w ogóle ma szanse zadziałać, pojawia się następne pytanie. Jaka będzie optymalna dawka?

Jeśli to ma być zastrzyk – to w jakiej objętości? Jeśli to ma być pigułka – to ile powinna zawierać substancji czynnej?

Po uzyskaniu tych informacji możemy przejść do farmakodynamiki, czyli sprawdzenia tego, czy lek jest skuteczny oraz jakie ma skutki uboczne. To jest faza druga.

Gdy jej wyniki są zadowalające, rozpoczyna się najbardziej kosztowna i ryzykowna faza testów klinicznych, czyli faza trzecia. W typowym scenariuszu uczestniczy w niej kilka tysięcy ochotników.

Dopiero teraz więc będziemy mieć dostatecznie dużo danych statystycznych, żeby precyzyjnie wyliczyć skuteczność leku oraz ryzyko związane ze skutkami ubocznymi. Bo po prostu nie ma leków bez skutków ubocznych.

Dziwnie często zdarzają nam się internetowe sensacje typu „celebrytka odkryła, że leki na depresję mają skutki uboczne”. No cóż, temu mogłoby zaradzić tylko lekarstwo na głupotę. Niestety jeszcze go nie wynaleziono.

W typowym scenariuszu wynalazca leku musi występować każdorazowo osobno do regulatora o zgodę na rozpoczęcie kolejnej fazy badań klinicznych. Może na nią czekać nawet rok.

Na czym więc polegało przyspieszenie prac nad szczepionkami? Przede wszystkim na tym, że amerykańscy i europejscy regulatorzy (nie będę się tu wypowiadał o Rosji i Chinach) zgodzili się na to, żeby nie prowadzić osobno badań dla pierwszych faz (między zerem a dwójką).

W praktyce przecież w większości przypadków polegają na odkrywaniu Ameryki na nowo. Jeśli wiadomo, że poprzednia szczepionka tego typu wymagała zastrzyku 0,2 mililitra, to w fazach 0-1 po prostu dowiadujemy się tego po raz drugi (tracąc dwa lata!).

Zachodnie firmy farmaceutyczne (Pfizer, Moderna, AstraZeneca, Johnson & Johnson) zaczęły więc prace od razu od fazy trzeciej, w dodatku często łącząc ją z drugą. Robiono je za to z nietypowym rozmachem – każda z tych firm testowała nie kilku, tylko kilkadziesiąt tysięcy ochotników.

Czy narażono nasze życie? Niezupełnie, bo rozdzielenie fazy drugiej od trzeciej to tak naprawdę ochrona firmy farmaceutycznej przed ryzykiem. Jeśli lek jest nieudany, to lepiej ponieść porażkę przy testach na kilkaset osób niż na kilka tysięcy (skądinąd, jak wiadomo, niektóre firmy odpadły z wyścigu).

Na koniec mamy fazę czwartą, czyli monitorowanie działania leku po wprowadzeniu go na rynek. Jak dotąd wszystkie analizy tego typu wskazują, że szczepionki skutecznie spełniły swoje zadanie i pomogły nam wrócić szybciej do normalności.

W farmacji skutki uboczne występujące rzadziej niż raz na dziesięć tysięcy przypadków nazywa się „bardzo rzadkimi”. To jest prawdopodobieństwo rzędu karety asów w pokerze.

Niewielkie – ale gdy zaaplikujemy daną szczepionkę stu milionom ludzi, będziemy mieć dziesięć tysięcy „bardzo rzadkich przypadków”. To na nich skupia się antyszczepionkowa propaganda.

Wprawdzie skuteczność ochrony malała z kolejnymi mutacjami wirusa, ale szczepionki zachowują swoją najważniejszą funkcję: chronią przed ciężkim przebiegiem choroby, wymagającym hospitalizacji. A w tym był największy problem, że bez szczepionek groziło nam przeciążenie systemu (w niektórych państwach doszło do niego i dla chorych zabrakło np. respiratorów).

Tyle fakty. Ale nie wątpię, że w komentarzach ktoś się podzieli „wiedzą z YouTube’a”...

Wojciech Orliński

Rozwód na starość

Tak,
NIE KOCHAM

**Ajak zarobisz
na wynajem mieszkania?
A co, jeśli zachorujesz?
A na starość co poczniesz?**

– Żadnych zgrzytów nie było. Moje małżeństwo skończyło się automatycznie. Po 41 latach – opowiada Miłka, matka dwóch synów, babcia. Miłka to imię z nagrobka, zobaczyła je w tureckim serialu, którym żyje od tygodni, i pod nim chce się ukryć. „Klan”, „Na Wspólnej” i kilka innych tasiemców to świat, w którym może być szczęśliwa.

Jak kiedyś.

– Męża poznałam, gdy miałam 16 lat, na weselu. Zabrał mi bransoletkę, by się znowu spotkać. Nie był za urodziwy, ale coś w sobie miał – opowiada, siedząc tyłem do okna, w półmroku. Nie zapala światła, bo każdy grosz się liczy.

– W wieku 19 lat zaszłam w ciążę, na studia nie poszłam – zawiesza głos, gdy wspomina o rodzicach nauczycielach, lokalnej elicie, którzy tak dbali o swoją jedynaczkę. A ona wyszła za chłopaka po zawodówce.

– On nigdy na nic mi nie żałował. Podoba ci się, kup, mówił. Nie wiesz, jaki kolor wybrać, kup oba. Co moje, to i twoje. Uczynny, złota rączka – mówi, poprawiając poduszki na kanapie. Jaśki w stylu boho okazały się ważne. Skrywają tajemnicę.

Szczęśliwą mężatką Miłka jest 41 lat, aż do tego zdjęcia, a raczej kolażu w jego telefonie: twarz-biust-bikini znajomej.

– Mój idealny mąż, który dzwoni, że dojechał do pracy, mówi, że już wyjeżdża, a tu takie coś?

Miłka po dwóch dniach jest gotowa do konfrontacji.

– Co to jest? – pyta męża.

– Zdjęcie.

– Takie zdjęcie?!

– Każdemu można takie zrobić.

– Mi takich nie robisz, a to jest obca osoba!

– A tam...

Spędy motorowe

I po małżeństwie, uznaje Miłka.

– Są rzeczy do wybaczenia, ale nie takie! – stwierdza i zza obszytego frędzlami jaśka wyjmuje zdjęcia zawinięte w koszulkę na dokumenty. Na nich jej były mąż na motocyklu, przy nim obca kobieta.

Najpierw przyglądała się sytuacji z boku. Mąż znika na całe dni, ona nie pyta gdzie. – Mam swój honor! – mówi.

On żyje złotami motocyklowymi, ona nazywa je spędami z rozpustą i pijaństwem.

– Wstawiał te uwłaczające zdjęcia z innymi kobietami na internet. W małym mieście ludzie się znają i on sobie pozwala na takie coś! – mówi, splatając chude, zdobione złotem palce. Bez obrączki.

Od rozmowy o zdjęciu zaczyna się w małżeństwie Miłki wspólne podszczypywanie. A to ktoś zrzuca koldrę z łóżka, a to zapala papierosa w domu (przez lata był zakaz), a to wyrzuca ubrania z szafy na podłogę. Takie wzajemne kuksańce.

W końcu Miłka doznaje „oświecenia”.

– On jeździ motorem po Polsce, niechby coś mu się stało?! Będzie sparaliżowany, a ja będę zobligowana przez państwo opiekować się nim! W trzy miga złożyłam pozew o rozwód – mówi.

Na rozwód bez orzekania o winie wystarczy jedna rozprawa.

– Chce pan rozwodu? – pyta sąd.

– Jak żona chce, to się zgadzam – mówi mąż Miłki.

Po 41 latach nie mają sobie do powiedzenia nic. Ani słowa.

Podglądanie byłego

Miłka prosi syna, by udostępnił ojcu mieszkanie po dziadkach, ale ten odmawia. Przestają rozmawiać.

– Gros ludzi się ode mnie odwróciło – przyznaje.

Kontaktów z synami dziś Miłka nie ma żadnych. Choć niedawno jednego spotkała na zakupach. Stali od siebie metr – za daleko, by porozmawiać.

– Ja mu życie dałam, a on mi życie odbiera – teraz, w ciepłym świetle lampy, którą zapaliła, widać jej zmęczoną twarz. Jeśli zwróciłaby ją lekko w lewo, przez okno dojrzałaby mieszkanie syna.

Lata spędzone z mężem Miłka uważa za stracone. Choć gdyby nie to zdjęcie w telefonie, pewnie byłaby

z nim nadal. Marzyła o wspólnych wyjazdach, czasie dla siebie.

– A teraz on jeździ z inną! Z moim przeciwnictwem pod każdym względem – mówi.

Podgląda byłego na Facebooku, z ukrycia, z innego konta, bo jej oficjalne zablokował. Ogląda i czyta komentarze, jak ten syna: „Tata odrabia stracone lata, teraz wie, co to jest przyjemność, a nie niewolnictwo”.

W rewanżu Miłka wrzuca do sieci własne zdjęcia. Najchętniej nadmorskie wypady (z jednego robi czasem kilka, w różnych miejscach i ubraniach, by karcić Facebooka dłużej). – Kocham morze, ale przykro mi, gdy widzę tam ludzi spacerujących za rękę.

60 tysięcy rozwodów

Przez kancelarię Agnieszki Augustyn przewijają się pary w różnym wieku. Mecenasa zauważyła jednak, że po pandemii wzrosła liczba rozwodników ze stażem 25-, 30- czy 40-letnim.

– Czasem rozstają się ludzie w wieku moich dziadków, którzy przecież byli ze sobą do końca.

Jednak statystyki są nieubłagane. W latach 1990-2015 w USA liczba rozwodów osób po pięćdziesiątce wzrosła dwukrotnie, a wśród osób powyżej 65. roku życia trzykrotnie. Według danych Eurostatu za 2021 rok wskaźnik rozwodów osób w wieku 55-64 lat wzrósł z 1,7 na 1000 osób w 1995 roku do 3,6 w 2019. U osób starszych zaś (65-74 lata) z 0,9 do 1,5.

A w Polsce? Według Głównego Urzędu Statystycznego liczba rozwodów w ostatnich dekadach

ŁUKASZ
OPLATEK



FOT. GETTY IMAGES

sukcesywnie wzrastała. W 1990 r. odnotowano ich ponad 42 tys., w 2000 r. prawie 43 tys., w 2010 r. już przeszło 61 tys. W 2020 (rok covidowy, z wydłużonym czasem rozpatrywania spraw) GUS zanotował ponad 51 tys. rozwodów, a w 2021 r. ponad 60,6 tys. W roku 2022 – według wstępnych szacunków GUS-u – rozwiódło się około 60 tys. par.

Z danych GUS-u wynika też, że to zwykle kobiety decydują się wnieść sprawę o rozwód – w 2021 r. robiły to niemal dwa razy częściej niż mężczyźni, z reguły bez orzekania o winie. Jeśli chodzi o wiek rozwodników, to dwa lata temu najwięcej było w tej grupie osób w przedziale 40-49 lat (ponad 20,6 tys.), a najmniej w wieku 25-29 lat (nieco ponad 5,5 tys.). Rozwodnicy w wieku 50-59 lat stanowili grupę liczącą ok. 7 tys. osób, a ci powyżej sześćdziesiątki ponad 3,1 tys.

Agnieszka Augustyn potwierdza: mit, że starsi ludzie się nie rozchodzą, upada.

RENATA. Rozwód po 31 latach

– Proszę – Renata podaje akt rozwodowy. Żoną była 31 lat, a rozwód z mężem i jego wyzviskami wzięła w październiku ubiegłego roku.

A już w dniu ślubu czuła, że nie będzie szczęśliwa.

Lży piekły jej policzki, gdy mówiła „tak” w urzędzie stanu cywilnego. Za to jej teściowa cieszyła się, że syn unika hańby posiadania nieślubnego dziecka.

– Wesele się udało, ale teraz wiem, że coś było nie tak – Renia siada na brzegu kanapy w wynajmowanym od kilku miesięcy mieszkaniu. Zajmuje pokój, w którym ledwo mieści się kanapołóżko, komoda, fotel i stolik.

Siedzi sztywno, z rękami na kolanach, jakby gotowa do ucieczki. Boi się byłego męża.

O małżeństwie opowie chętnie.

– Wracając z dyskoteki, sprawdzaliśmy, czy jest awantura, krzyki – zaczyna od czasów przedmałżeńskich. – Przyszli teściowie bili się, przy mnie też. Tam była atmosfera grozy. Widząc lęk w oczach teściowej, zastanawiałam się, jak ona może twierdzić, że go kocha.

Otello

Jedno dziecko, drugie, trzecie. Rodzina Renaty powiększa się jak przez pączkowanie. On pracuje, ona zajmuje się dziećmi. Jemu to pasuje, lepiej, żeby żona siedziała w domu. – Odcinków od wypłaty nie przynosi, znika, pije, zupełnie jak jego ojciec – mówi kobieta.

Gdy mąż coraz mocniej wchodzi w buty ojca, ona się modli. Tournée po sanktuariach odbywa z intencją: żeby się zmienił. Żeby ich dom nie był jak te z ich dzieciństwa. Bo i u niej różowo nie było. Przypomina sobie o tym co rano, chowając pod makijażem blizny po rozbitym na niej przez pijanego ojca kryształ.

Renata mówi, że ślubny jest alkoholikiem i ma zespół Otella. To patologiczna zazdrość oparta na urojeniach. Kiedy więc ona rozmawia ze znajomym, musi spuszczać wzrok. Bo każde spojrzenie w oczy

może być początkiem „czegoś”. Kiedy chce odwiedzić koleżankę, musi się upewnić, że w domu nie będzie jej brata.

– Ale wie pan, co było najgorsze? To jego wyzywanie! Po pijaku i na trzeźwo. Zużył na mnie wszystkie obelżywości świata. Jeszcze niedawno, już po przeprowadzce do miasta, gdy ktoś pijany krzyknął na ulicy: „Ty suko!”, dostawałam drgawek.

Embrion

Po kilkunastu latach ponizania myśli o odejściu od męża. Tylko gdzie pójdzie z piątką dzieci? Pracowała niewiele, a jeśli już, to w zakładzie męża, pod jego okiem. Do matki nie wróci – za ciasno, poza tym ta mówi: „Jest ślub, jesteście do śmierci!”.

Boi się też Boga. Skoro przysięgła przed nim „miłość i wierność”, to po rozwodzie nie trafi do nieba. No i zabierze dzieciom ojca.

– One go kochały i nienawidziły. Wie pan, że on potrafił zabić psa, do krwi, cały był spuchnięty, a przecie sam go przywiózł dla córki. Powinnam zadzwonić na policję, zgłosić, wiem, ale co potem? Gdzie poszłabym z piątką dzieci? – zawiesza głos. – Dzieci nie rozumieją, jak mogłam z nim spać... A ja spałam w pozycji embrionalnej!

Dzwony

Rozvodu Renata żąda po słowach 18-letniej córki: „Mama, ty nie masz do siebie szacunku!”.

Potem idzie szybko: pozew, szukanie mieszkania, pakowanie. Ponad trzydzieści lat matka i dzieci pakują w trzy dni. Czego nie zabierają, mąż pali.

Podczas rozprawy sędzia pyta o miłość. O przywiązanie, troskę.

– Od siedmiu lat nic do niego nie czuję – mówi ona.

– Ja od kwietnia – na datę złożenia wniosku o rozwód wskazuje on.

Z sądu Renata wychodzi w samo południe. Wie, że bojów czeka ją wiele, ale bijące właśnie dzwony odbiera jak fanfary.

– Poczułam się jak piętnastolatka. To był mój pierwszy naprawdę szczęśliwy dzień od trzydziestu jeden lat.

Wstyd

A jak zarobisz na wynajem mieszkania? A co, jeśli zachorujesz? Pierwsze starcia Renata odbywa z rodziną. Zamiast „jak się czujesz” i „jak ci pomóc” słyszy: a na starość co sama poczniesz?

– Z nim nie dożyłabym starości! – rozwódka odpowiada przez ściśnięte szczęki.

Na wsi, w której żyje, rozwód jest wydarzeniem. Wstydem. Ludzie widzą tam, co ładne: zadbane dzieci, niedzielne składanie rąk, kwiaty przed domem. A że mąż czasem wypije? Że krzyknie? Komu to szkodzi.

Oburzeniem na rozwód reagują najbliżsi sąsiedzi Renaty, para po siedemdziesiątce.

– Były mąż też mawiał, że powinniśmy być ze sobą do śmierci. A miesiąc po rozwodzie stwierdził, że to dzieci namówiły mnie do złego.

Dziś małżeństwo kojarzy się Renacie z więzieniem, z wymuszoną wewnętrzną emigracją. Nie życzy go nikomu. Synowi mówi: a po co ci to?! Jej zdaniem ludzie po pięćdziesiątce powinni decydować: zostać w małżeństwie lub nie.

– Wiele długich związków to fikcja. Teściowa nawet z mężem leżeć w grobie nie chciała, mimo że byli razem do końca. Moja mama też z tatą leżeć nie chce.

Trwanie

Katarzyna Mikszto, psycholog, seksuolog i terapeuta par, mówi, że przez pokolenia żyliśmy w przekonaniu, że termin „na dobre i na złe” należy interpretować dosłownie. – Nawet jeśli jakoś związku pozostawia wiele do życzenia, a partner odziera z poczucia godności i szacunku, karmi poczuciem osamotnienia i nie okazuje zainteresowania – to jest to dla tej drugiej osoby coś znanego. Trwanie w takiej dysfunkcji wyposaża w destrukcyjne umiejętności adaptacji, znieczuła, zabiera poczucie własnej wartości i sprawczości.

HALINA. Rozwód po 27 latach

Postawny, elegancko ubrany mężczyzna wychodzi z bloku. Krok ma pewny, można by rzec: zawadiacki. Jest zwykłym emerytem w prowincjonalnym miasteczku.

Gdy wypłaca pieniądze z bankomatu, ktoś go obserwuje. Zza drzewa, zza budynku, potem wchodzi za nim do klatki schodowej.

To Halina, 75-letnia emerytka, w końcu swojego męża przyfilowała.

– To ta rozwódka! Ta sama, którą na działkę przywoził, zieleniny jej dawał.

Pod drzwiami nadstawia ucha.

– Aż mną zatrzęsło! Usłyszałam, jak spodnie zdejmował, metalowa kłamra uderzyła – kontynuuje szpiegowski wątek Halina.

Wali w drzwi. Cisza.

– Idę do męża kuzyna: Zenek, przedzwoi do niego i zobaczmy, co ci powie. A on mówi Zenkowi, że jest 20 km dalej, z kolegą i koleżanką grzyby zbierają!

Wystarczy spędzić z Haliną chwilę, by uwierzyć, że jeśli chce kogoś przyfilować, to go przyfiluje. Całe życie była księgową, potrafi wycenić, na co kogo stać. Choć i ona pomyliła się w obliczeniach. I to wobec męża.

Znają się od dzieciństwa, ale odnajduje go, nie chcący, gdy ma 47 lat. Ona jest wdową z dwójką dorosłych dzieci i pustym mieszkaniem. On to roznodnik, z odchowanymi synami i działką.

– Grządkci mi przekopał, do lekarza zawiózł, rodzicom dywan wytrzepał, bez mydła do tyłka wszedł – Halina śmieje się tak, że aż podskakuje w fotelu. – Dobrze nam było, bez obwiniania, wypominania. Kobieta musi posprzątać, ale on odkurzał. Posiłki też pomagał robić. Wypłaty przynosił. Szczęśliwie wyszłam drugi raz za mąż – twierdzi.

Aż jakieś dziesięć lat temu małżonek zaczyna się wymykać. Czasem za dużo wypije, bywa, że znika na całe dnie. Żonę księgową szlag trafia, gdy ślubny konto osobne zakłada. A czarę goryczy przelewają rękoczynny. Po paru głębszych małżonek stuka knykciami w głowę Haliny – w sposób, w jaki sprawdza się dojrzałość kokosa.

– Co?! – zrywa się ona. – To ojciec moich dzieci nigdy ręki na mnie nie podniósł, to ty tym bardziej! Zadzwoniłam, policja zabrała pana i założyła mu Niebieską Kartę – mówi 75-latka.

I tak złe między parą odkłada się warstwami. Żona podejrzewa męża o zdrady, mąż w odwecie szuka kochanków żony. Ona go śledzi, on mazakiem robi kreseczki na roletach. Przesunięcie w górę lub w dół oznacza, że „żona miała gacha”.

– A w Wigilię 2021 roku on mi życzył, żebym nie była taka zazdrosna. Chciał, żebyśmy żyli w trójkącie!

Na wykrywaczu

Małżeństwo Haliny ostatecznie rozbija się o wariograf.

Wariograf to część jej planu. A ten jest prosty: oboje z mężem podłączają się do wykrywacza kłamstw i odpowiadają na te same pytania. O nie-wierność, oszukiwanie, może i mniejsze kłamstewka da się wychwycić. Ona płaci.

– Żeby każdy widział, że jestem czysta – mówi kobieta.

A później pójdą na terapię. Plan bierze w łeb, bo mąż godzi się na terapeutę, ale na wykrywanie kłamstw już nie.

– A mnie głównie o wariograf chodziło! – przyznaje Halina.

*On: Wysoki sędzie,
sąsiedzi mają o nas dobre zdanie,
jesteśmy porządni, katoliccy,
firma dobrze prosperuje.
Ona: W Wigilię mi życzył,
żebym nie była taka zazdrosna.
Chciał, żebyśmy żyli w trójkącie!
Po 28 latach*

A więc rozwód

Rozprawa trwa kwadrans, ogłoszenie wyroku pięć minut. Rozchodzą się jak obcy, po 28 latach, w tym 27 jako mąż i żona.

On odjeżdża, ją córka zabiera na lody, a zdjęcia z cukierni rozsyła rodzinie i znajomym. Bliscy Hali-ny mówią: nareszcie będziesz szczęśliwa.

– A ja w sądzie byłam otepiała. Chwilami nie wiedziałam, gdzie się znajduję – rozwódka na moment zastyga. – Mimo zdrad, złych rzeczy wierzyłam, że nasze małżeństwo przetrwa. Taka głupia byłam. Po 28 latach razem. Ale jak ten pan zaczął myśleć rozporkiem, a nie głową, to efekty są.

Strażnicy wizerunku

Mecenas Agnieszka Augustyn rozwodziła parę po siedemdziesiątce. Zanim jednak doszło do sprawy w sądzie, małżonkowie przyszli po rozdzielność majątkową. Mieli już osobne konta, chcieli, by ktoś im powiedział: to jest pani, a to pana.

– Potraktowaliśmy to jako żart. Ich słowa brzmiały jak przekomarzanie się dzieci w piaskownicy – wspomina mecenas. Poprosiła więc sędziego, nestora, by przemówił stronom do rozumu. – Chcieliśmy ich pogodzić, mówiąc, że ten spór jest błahy, ale nie wiedzieliśmy, że problem tkwi głębiej, że jest ktoś inny – prawniczka mówi, że często rozwodnicy ukrywają prawdziwe powody rozstania. Są strażnikami swoich wizerunków.

ADAM.

Rozwód po 23 latach, drugi po 27

Jest rok 1971, dziewczyna Adama dostaje przydział na pokój ze ślepą kuchnią. Za Gierka takie mieszkanie to dla młodych spełnienie marzeń. Ale staje się cud. Dzwoni pani ze spółdzielni z pytaniem: Krysia, masz chłopaka, jak macie zamiar, to może większe dostaniecie.

Krysia zaprasza więc Adama do restauracji.

– Mam sprawę – zagaja.

– W ciąży jesteś?! Wyduś to! – ponagla Adam.

– Gdybyśmy ślub wzięli, to dostalibyśmy mieszkanie trzypokojowe – rzuca ona.

– Dorosliśmy do tego? – pyta on.

Wkrótce Adam prosi rodziców Krysi o jej rękę. Są kwiaty, faszka i słowo od teściowej: bierzesz sobie twardy orzech. Ale jest mieszkanie, potem dwóch synów.

– Chodziliśmy na zabawy, sylwestry, dobra sielan-ka była – opowiada 75-latek. Ale oprócz sielanki ma też manka. To znaczy ma je żona w sklepie z okularami, ale on je splaca.

– Obrotny byłem – rzuca niby mimochodem. – Ale zły byłem na te długi.

Jedzie więc do Niemiec. Zarabia w markach, a drugą wypłatę ma z waty. Torbami przez granice białych puch targa, a miejscowe panie robią z niej podpaski. – Przebicie miałem piętnastokrotnie! – podkreśla, patrząc, czy aby na pewno podziwiam. Trzecią wypłatę na zachodnich czekoladach i bieleźnie damskiej robi. Kobiety przychodzą do niego na przymiarki.

– Moja mama pieniądze szporowała, a żona naszymi szastała – złości się na samo wspomnienie dawnego związku. – No i wyżej chciała być. Miała średnie, ja zawodówkę. Zła była, że do szkoły wieczorowej poszedłem. Dużo przez to było cichych dni, a tego nie lubię.

Rozstanie doradzają Adamowi kuzyni. Znad piw-ka lepiej relacje damsko-męskie widać. – Daj sobie spokój. Młody jesteś, życie sobie ułożysz – podpowiada-ją.

– No i spaliśmy osobno. To było zimne małżeń-stwo – Adam ocenia 23 lata związku.

O rozwodzie mówi: najkrótszy w historii Europy. 15 minut i po sprawie. I, na czym mu zależy, bez orzekania o winie.

U wdowy chleb gotowy

– Widziała we mnie potencjał na chłopa! – 75-latek wypina pierś jak do orderu.

Ślub biorą przed urodzinami partnerki i niemal w rocznicę jego rozwodu.

– Zgadzaaliśmy się, z pracy ją odbierałem, ona zadbała o siebie. Nie było cichych dni, dbała o pieniąd-ze. Gdybym z nią był od razu, to dom byśmy wybu-dowali – Adam wylicza korzyści z drugiego ożenku.

Po kilkunastu latach oboje przechodzą na eme-ryturę. Urządzają imprezy, grille. Ich światem jest działka rekreacyjna.

To tam, wśród marchewki i drzew owocowych, wyrasta między nimi zazdrość.

– Prawdopodobnie jeden z jej kolegów ją tam zali-czył – 75-latek wali słowami między oczy. – Przestała okresować i od tego momentu zaczęła się wychylać! – dodaje.

Tym razem radzi się nie tylko kuzynów, ale i są-siada. Rada jest prosta: ja bym wpierdolił! On woli po biblijnemu: oko za oko. – Jak była sposobność, to, prawem odwetu, korzystałem – mówi emeryt.

Pozew składa żona Adama, po 27 latach w związku.

– Ludzie nas znali, oceniali jako udane mał-żeństwo, wszędzie razem byliśmy – mężczyzna poprawia welniany sweter w szpic. – A najgorsze, że musiałem się wynieść. Mieszkanie żona zapisa-ła synowi.

Teraz dwukrotny rozwodnik mieszka z młodszą o blisko dwadzieścia lat kobietą. To córka jego kolegi, którą obiecał się zaopiekować po jego śmierci. Ale na zakupach, na działce, na spacerze przedstawia ją jako znajomą. Czasem jako osobę, od której wynaj-muje pokój.

– Miałem w życiu to szczęście, że trzy kobiety mi się z mieszkaniem oświadczyły – podkreśla.

WANDA.

Rozwód po 35 latach

Zanim Wanda pozna męża, spotyka się tylko z jed-nym chłopcem. Zrywa z nim, gdy ten nie chce iść na studia. Bo Wanda ma jedno marzenie: uczyć się! Jej przyszły mąż też musi.

Swojego inżyniera poznaje na studenckim obozie jeździeckim. On dopiero co rozstał się z dziewczyną. Też długowłosą blondynką grającą na gitarze i robią-cą zdjęcia.

Ślub biorą w 1977 roku.

Mąż Wandy pracuje na uczelni w Poznaniu, otwiera przewód doktorski, po godzinach robi zle-cenia. Mieszkanie mają małe, co czuć, gdyż po kilku latach jest ich pięć. Dziećmi zajmuje się ona, on od obowiązków domowych ucieka w pracę.

– On jest do celów wyższych – ironizuje kobieta.

Małżonkowie zaczynają żyć jak jego rodzice, których Wanda nazywa mentalnymi rozwodnika-mi. Chłodnym związkiem. Opowiada, jak teściowie budują dom, a potem śpią każde pod własną koldrą, w osobnych sypialniach. On jedzie do rodziny, ona do auta z nim nie wsiądzie.

– Tak, mieliśmy mentalny rozwód – mówi Wanda.

– A przecież pół roku przed ślubem mama powie-działa mi: to nie jest chłopak dla ciebie.

Z czasem on znika coraz bardziej. Nie uprze-dza, że nie wróci na obiad, na kolację. Nie ma go w domu o dwudziestej, gdy dzieci idą spać. Nie ma o dwudziestej drugiej, a żona wyobraża sobie, że ktoś go napadł albo miał wypadek. A gdy ona dzwoni od sąsiadki, która ma telefon, w słuchawce słyszy: jak nie wracam, to jestem w pracy, powinnaś to wiedzieć.

Wanda próbuje rozmawiać o emocjach. Robi uroczyste kolacje, zagaduje, próbuje się zbliżyć.

– Te próby zawsze kończyły się krzykiem: tobie nic się nie podoba, ty wiesznie chcesz się klócić! I ucieczką. Żeby choć awanturę zrobił! – żali się Wanda. – Jego jedyną emocją było, że mnie uderzył, w twarz. Ostatni raz przy dzieciach.

Dlaczego więc rodzi kolejne dzieci? Chwilę się zastanawia. – Bo jestem Rakiem. Walczę. Poza tym potrzebuję bliskości. Nie ma przytulania, wspólnych obiadów, to chociaż śpijmy w jednym łóżku. A że mąż antykoncepcji nie uznawał, a mi lekarz zabronił brać tabletki, to rodziły się dzieci – przyznaje.

– Pierwszego syna zaplanowałam, dla męża. Dru-gie dziecko chciałam, trzecie to wpadka. A czwarte i piąte? Byłam w okresie menopauzalnym, nie powinno się zdarzyć, a się zdarzyło.

Może jak dzieci pójdą na swoje, my na emerytury, to będziemy mieć czas dla siebie, planuje Wanda. Fantazjuje o wycieczkach rowerowych, spacerach po plaży.

– A on wracał wieczorami, obiadów nie jadął.

Wypijał beczkę piwa i do rana, z wyjącem telewizo-rem, spał w pokoju syna. Czułam się recepcjonistką w hotelu – skarży się.

Wanda proponuje mężowi terapię, jednak nie otrzymuje odpowiedzi. Po ośmiu miesiącach pyta ponownie – on ucieka.

– Lubił, żeby za nim biegać, gonić króliczka, ale ja już nie zamierzałam tego robić – mówi. Potem ona choruje na depresję, on gasi pożar w firmie, którą wspólnie prowadzą. Małżeństwo schodzi na dal-szy plan.

Odwagi, mężu

– Czy ty mnie jeszcze kochasz? – po kilkumiesięcz-nym leczeniu depresji pyta Wanda.

– To jest skomplikowane – odpowiada jej małżonek.

Ze złości kobieta składa wniosek o separację.

Liczy, że tak mężem wstrząśnie. Bez skutku. Mówi więc „b” i żąda rozwodu. W odpowiedzi on przynosi do sądu trzydzieści stron dokumentów, w tym ksera PIT-ów żony.

– Przecież mamy dobre i wykształcone dzieci.

Sąsiedzi mają o nas dobre zdanie, jesteśmy porządni, katolicy, chodzimy do kościoła, firma dobrze pro-speruje – mężczyzna wylicza plusy bycia razem.

To przed sądem Wanda upewnia się, że jej mąż to emocjonalny tchórz. Ktoś, kto boi się słów. „Ko-cham”, „nie kocham”, „odejść”, „zostań” – nie ma ich w jego słowniku.

– Trzydzieści pięć lat byliśmy razem, a w sądzie mąż słowa o mnie nie powiedział jako o człowieku, o żonie. Zero, ja nie istnieję.

Drobne zaniedbania

– Przyzwyczailiśmy się, że powodem zakończenia małżeństwa musi być zdarzenie nagłe, oszustwo, zdrada – mówi mecenas Agnieszka Augustyn. – Tym-czasem często do rozpadu związku prowadzą drobne zaniedbania, niezauważanie czegoś. Trwamy dla dzieci, budujemy coś, a gdy one wychodzą z domu, zostajemy sami. Rozwodziłam panią, która w pande-mii szyła maseczki. Tam zauważyła, że ludzie rozma-wiają, są pogodni, w końcu ktoś interesował się nią i tym, co ma do powiedzenia. Ale gdy pani chciała przełożyć to uczucie na życie domowe, mąż zare-agował: „A co ty teraz?!”. Ona odeszła, a on usilnie szukał zdrady, jakiejś przyczyny z zewnątrz. Innym razem rozwodziłam parę z 30-letnim stażem, która tuż przed Wigilią stwierdziła: nasze małżeństwo to fikcja. Rozwiedli się, podzieltli łódówkę na pół, lecz nadal mieszkają razem – opowiada mecenas.

Zmiany w podejściu do rozwodów osób z długim stażem małżeńskim dokonała także pandemia. Jak mówi Agnieszka Augustyn, to COVID-19 powiedział im „sprawdzam”.

Bilans

Rozwód to zysk.

Halina: – A może Bóg tak chciał? Teraz to dzieci wożą mnie do lekarzy, zapraszają na obiady. Wie-działam, że mam dobre dzieci, ale że aż tak? A poza tym już nie grzeszę, mogę w końcu komunię świę-tą przyjmować.

Renata: – Małżeństwo przypłaciłam depresją, dzieci są pod opieką psychologa. Mimo to dziś jeste-śmy szczęśliwi jak nigdy dotąd. W końcu piję herba-tę jak trzeba, uśmiecham się do koleżanek i kolegów bez obaw o awanturę, chodzę na koncerty.

Wanda: – Jestem sama, ale nie samotna. Mam wielu znajomych, także w wieku moich dzieci. Chcą mnie, starą babę, do różnych rzeczy. Rozwijam foto-graficzną pasję, mam na koncie kilka wystaw.

Rozwód to strata.

Adam: – Inaczej to sobie wyobrażałem. Chciałem dotrwać do końca, żeby szklankę wody podać, zaku-py zrobić. Tym bardziej że była żoną rak prowadzi. Szkoda mi związku, bliskości, rodziny. Cofnąłbym czas, ale na moich zasadach.

Wanda: – Nie mam kontaktu z dziećmi. Gdy przyjeżdżały, mąż siadał obok mnie, odnosił tale-rze ze stołu, wychodziło więc, że to ja mam sieczkę w głowie i chcę rozwodu. Może zrobiłam błąd, że rozmawiałam z mężem, gdy dzieci spały lub gdy ich nie było? Mimo to dla mnie nie ma rozwodów. Nikogo nie mam, nie uprawiam seksu, nie cudzołożę – nadal czuję się mężatką. To, co było w sądzie, było formalnością tutaj na Ziemi.

Halina: – Nawet dzieciom się do tego nie przyzna-łam, że gdy jestem sama, czasem płaczę. Telewizor, krzyżówki, które „ciacham” jedna za drugą, zajmują głowę tylko na chwilę. Może wiosna i działka, ten własny kawałek nieba, mi ulży? Czasem spotykam byłego męża, powiemy sobie „dzień dobry”, ale bałabym się zostać z nim sam na sam, uległabym i zaprosiła go z powrotem.

Milka: – Boję się starości. Jest okrutna. Najbar-dziej boję się alzheimera, po mamie. Umówiłam się ze znajomymi z Lublina, że jak nie odbiorę kilka razy telefonu i nie oddzwonię, to znaczy, że nie żyję. Mają wtedy powiadomić rodzinę. Nie chciałabym tu sąsiadom zaśmierdnąć.

Renata: – Myślę o byłym mężu. Wiem, że jest zły. Wiem, że to mój wróg, ale brakuje mi ciała. Obec-ności. ●

Historia wody

JAK NIE ZGUBIĆ ani kropli

Kiedy mój syn Guccio dobieje trzydziestki, 3 miliardy ludzi będzie cierpiało z powodu niedoboru wody, a w oceanach będzie więcej plastiku niż ryb

Z **SYMONEM OPARYSZKIEM**,
REPORTEREM, AUTOREM KSIĄŻKI
„WODA. HISTORIA PEWNEGO PORWANIA”,
ROZMAWIA **ALEKSANDRA ZBROJA**

Jeden z twoich bohaterów wyrzuca nam: „Żreć na śniadanie guacamole, zasłonięci gazetami, w których piszą o krwawym biznesie awokado, ale na co dzień nie odczuwacie żadnych konsekwencji. Wysuszyście nas do cna”. Czujesz się odpowiedzialny za ten kryzys?

– Myślę, że wszyscy powinniśmy się czuć odpowiedzialni – nasze wybory (i żywieniowe, i polityczne) mają wpływ na zasoby wodne. Od kiedy zacząłem pracę nad książką, drastycznie ograniczyłem spożycie awokado, wołowiny, coca-coli, produktów, które fundowałem sobie kiedyś bez limitów. Sprzeciwiam się jednak zrzućciu wyłącznej odpowiedzialności za kryzys klimatyczny na jednostki. W książce poruszam przykład Kanady, która uchodzi za „zielone” państwo. A jest ona bazą dla prawie połowy światowych firm wydobywczych! Pokazuję też przykład kanadyjskiego funduszu emerytalnego, który posiada 30 procent zasobów wody w Chile – w tym kraju jest ona zupełnie sprywatyzowana. To taki outsourcing: u nas dbamy o przyrodę, ale zarabiamy na jej niszczeniu w biedniejszych krajach.

Piszesz o uprawach awokado w Meksyku. Ten owoc nazywany jest „zielonym złotem” i generuje dla Meksyku więcej zysku niż ropa naftowa.

– W Meksyku dzisiaj każdy, kto ma pieniądze, inwestuje w uprawy. Tymczasem do produkcji kilograma awokado potrzeba 15 razy więcej wody niż do produkcji kilograma pomidorów. Awokado wędruje potem do krajów bardziej zasobnych w wodę.

A Meksyk wysycha.

– W ostatnim dziesięcioleciu eksport do USA wzrósł czterokrotnie, a w ciągu ostatnich 40 lat cena kilograma podskoczyła 2 tysiące razy. Przeciętnego Meksykanina już nie stać na owoc, który jest przecież ważnym elementem narodowej kuchni. Awokado stało się produktem dla wyższych sfer.

Po lekturze twojej książki odniosłam wrażenie, że dopiero niedobór sprawia, że zaczynamy rozumieć, jak ważna jest woda. Jak z zębem, o którym nie myślę, dopóki nie rozboli.

– Szokuje mnie, że dopiero w 2010 roku ONZ uznało prawo do wody i urządzeń sanitarnych za powszechne prawo człowieka. Parlament Europejski uczynił to w roku ubiegłym. Późno to wszystko się dzieje i przechodzi bez większego echa. Nie zdajemy sobie sprawy, jaki to przywilej, że z kranów leci nam woda. To jest wielka rzecz.

Jak wielka?

– 2 miliardy ludzi nie ma dostępu do wody lub korzysta z niezabezpieczonych jej źródeł. Jeszcze więcej osób pozbawionych jest dostępu do sanitariatu, czego efektem jest mieszanie się ścieków z wodą. W XXI wieku ponad 80 procent nieoczyszczonych ścieków powstałych w wyniku działalności człowieka ma ujście do rzek lub morza.

Historia wody, jak ją opisujesz, to historia wykluczenia.

– Ludzie pozbawieni dostępu do wody to ci najbiedniejsi. Kupują ją np. z cystern, płacą za litr o wiele

więcej niż za wodę z wodociągów. To pierwszy paradoks i pierwsze wykluczenie. Ale jest ich więcej.

Za zdobycie wody odpowiadają głównie kobiety.

– Według Światowej Organizacji Zdrowia w 80 procentach gospodarstw domowych na świecie, które nie mają dostępu do bieżącej wody, zaopatrzeniem w nią obciążone są kobiety i dziewczęta.

Jeździłem z kierowcą cysterny z wodą po ubogich dzielnicach miasta Meksyk. Na każdym rogu stały kobiety uzbrojone w wiaderka i kanistry. Czekają na dowóz wody. Często trwa to wiele godzin, co wyklucza kobiety z rynku pracy, uniemożliwia zajmowanie się dziećmi i po prostu – prowadzenie życia.

Podobnie jest na terenach wiejskich w krajach globalnego Południa: średnio każdego dnia kobieta musi nieść kanistry z wodą przez aż 6 kilometrów. Po drodze narażona jest na przemoc, a ciężar wody sprawia, że w przyszłości będzie cierpieć na np. choroby kręgosłupa.

Rozmawiałem z marokańskimi łowczyniami mgły, które pobierają wodę z wielkich siatek do łapania wody z mgły. Tradycyjny podział ról społecznych w berberskich wioskach polega na tym, że to kobiety są odpowiedzialne za wodę – to rodzaj wodnego patriarchy. Ale dzięki łapaniu mgły kobiety już nie muszą chodzić po 2-3 kilometry po wodę, a do tego nabyły nowe kompetencje przy np. konserwacji siatek – realizują więc tradycyjne zadania, ale nie są już wykluczone z rynku pracy.

W Polsce nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy uprzywilejowani, bo mamy kilka kroków do łazienki czy kuchni, w których zawsze popłynie woda.

• Koryto Renu w Kolonii w Niemczech

FOT. SHUTTERSTOCK





NOWA ZAWADIACKA KSIĄŻKA AGATY ROMANIUK

autorki bestsellerowej serii Kocia Szajka

JUŻ W SPRZEDAŻY

PATRONI:



DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA
W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA



**Popłynie, owszem, ale też sporo się zmar-
nuje. Zwracasz uwagę, że z nieszczelnych
rur wycieka codziennie 18 tysięcy base-
nów olimpijskich wody, a w Polsce i Euro-
pie tracimy z powodu awaryjności i nie-
szczelności przewodów wodociągowych
średnio 15 procent wody pitnej.**

– Są w Polsce gminy, jak Nowy Targ, który w ciągu ostatniej dekady ograniczył wycieki z prawie 70 do 35 procent. Wszystko dzięki unijnym dotacjom na inwestycje i monitoringowi wodociągów. Wiele polskich miast ograniczyło wycieki do nawet 10 procent – to świetny wynik w skali świata. Jak widać, to problem, który można rozwiązać przez inwestycje w technologie.

Czyli jak?

– Podpatrując Izrael, który do perfekcji opo- nował oszczędzanie wody. W całym kraju w sieciach wodociągowych wykorzystywane są minidrony i czujniki ciśnienia, żeby nie zgubić ani kropli. Nawadnianie terenów rolniczych odbywa się metodą kropelko- wą – czyli bezpośrednio do korzeni rośliny za pomocą kropłówek, dzięki czemu dostarcza się wodę bez marnotrawstwa. Ta precyzyjna praktyka sprawiła, że pobór wody spadł o niemal jedną trzecią przy równoczesnym zwiększeniu plonów. Izrael przoduje również w odzyskiwaniu ścieków: 75 procent wszystkich ścieków jest ponownie używanych na potrzeby rolnictwa.

W Izraelu ta rewolucja dzieje się też w skali mikro: dzieci od najmłodszego uczą się oszczędzać wodę, a w domach czymś normalnym są oszczędne spluczki czy wykorzystanie urządzeń do podlewania roślin wodą z klimatyzatorów. Dzięki temu wszystkiemu Izrael uchodzi za państwo najbardziej postępowe i prowdne.

Są też cienie tego sukcesu.

– W książce przyglądam się wodnej historii Jerozolimy, bo to niebywałe, jak dostęp do wody – lub jego brak – wpływał na społeczne podziały. Przez lata woda była gwarantem pokojowego współistnienia trzech religii, ale rosnące niedobory sprawiły, że stawała się narzędziem propagandy i sabotażu. I dziś jest podobnie. Izrael faktycznie pomysły gospodarowania wodą potrafi wykorzystać w niecnym celu. Politycy w każdej chwili są w stanie wyłączyć wodę w Palestynie, spowodować kryzys humanitarny, żywnościowy, gdyż sieci wodociągowe należą do Izraela. Palestyńczycy nie mogą wiercić nowych studni ani pogłębiać istniejących, nie mogą instalować pomp, a ponadto nie mają dostępu do rzeki Jordan, której kierunek został zmieniony, by służyć Izraelczykom. To się jeszcze nie wydarzyło na wielką skalę, to są na razie drobne ograniczenia w miesiącach, kiedy Izrael ma większe zapotrzebowanie wodne (według Amnesty International w okresie letnim przepustowość systemu, który kieruje wodę do Palestyny, spada nawet o połowę), ale sam fakt, że może kontrolować przepływ wody w zwaśnionej autonomii, jest dyskusyjny. Powiedziałbym nawet, że to rodzaj wodnego apartheidu.

Zadajesz pytania o władzę polityczną nad wodą.

– Kolejnym przykładem jest Irak, w którym 70 procent zasobów wodnych jest kontrolowanych przez Turcję i Iran. Oba kraje kontrolują wodę za pomocą zapór, by przepływ wody na terenie Iraku był niższy. Jest to świadome ograniczanie zasobów w kraju sąsiednim, co prowadzi do konfliktów, recesji, kryzysów żywnościowych, ale też migracji.

Spotkałeś irackich Kurdów na granicy polsko-białoruskiej.

– Po wybuchu kryzysu na naszej granicy zrobiłem przerwę w pisaniu książki i ruszyłem śladami migrantów. Na początku pracowałem w Turcji, potem w Białorusi, na końcu wylądowałem po polskiej stronie granicy. Nie myślałem o wodzie, chciałem po prostu zrozumieć tę sytuację i migrujących ludzi. Po kilku miesiącach pracy zdałem sobie sprawę, że woda w sposób

pośredni wpłynęła na losy osób uwięzionych w naszych lasach.

Momentem zwrotnym była rozmowa z mężczyzną, którego deportowano z nieistniejącego już białoruskiego ośrodka dla migrantów w Bruzrach. Wcześniej spotka- liśmy się w lesie. Skontaktował się ze mną, kiedy był w drodze powrotnej do irackiego Kurdystanu, dokąd i ja w końcu pojechałem. Opowiadał, jak susza i niedobory wody wpłynęły na jego rodzinę, jak musiał wyjechać, gdyż jego rodzice nie byli w stanie utrzymać farmy. Zacząłem się tematowi przyglądać wraz z aktywistami wodnymi z irackiego Kurdystanu. Znaleźliśmy więcej podobnych historii. Według ONZ Irak jest w piątce krajów najbardziej wrażliwych na zmianę klimatu.

Czy Putin z Łukaszenką wykorzystali kryzys wodny do zaatakowania UE?

– Susza nie była wyłącznym powodem, dla którego Irakijczycy zaczęli masowo migrować przez białoruską granicę. Tak trudne decyzje, jak opuszczenie domu i podróż w nieznane, zwykle wynikają ze splotu różnych czynników, nie powinno się tego upraszczać, nadawać ludziom etykiet: o, migrant ekonomiczny, o, uchodźca klimatyczny. Mamy skłonność do zero-jedynkowych uogólnień, które są szkodliwe, bo nie pozwalają dostrzec złożoności problemu, a co za tym idzie – wprowadzać odpowiednich rozwiązań. Obserwowaliśmy to w kontekście uchodźców z Syrii, których okrzyknięto pierwszymi „uchodźcami klimatycznymi”, co było nadużyciem. W tym samym czasie w Libanie również panowała susza. W Syrii to złe zarządzanie państwem, konflikt polityczny w połączeniu z suszą i kryzysem w rolnictwie spowodowały masowy exodus.

Klimat okazuje się jednak istotną zmienną.

– Przyspiesza decyzje. Śledzę szlaki migracyjne, badam powody migracji nie tylko z Iraku, ale też na szlaku bałkańskim i w Ameryce Centralnej. Wiele osób wybiera się w podróż, ponieważ w ich krajach nie da się już uprawiać rolnictwa. Wiarygodne wydają mi się statystyki Banku Światowego, które przewidują, że do 2050 roku na świecie będzie 216 milionów migrantów klimatycznych. Musimy się na to przygotować, wypracować skuteczną politykę migracyjną i przede wszystkim – przestać traktować ich jak zbrodniarzy.

Jeżeli ktoś mieszka na farmie w Iraku, do której raz w tygodniu przyjeżdża cysterna z wodą, dookoła rozwijają się szyby naftowe i wszystko w okolicy jest zanieczyszczone, do tego susza i upał cały rok utrudniają codzienne funkcjonowanie, no to w pewnym momencie nie ma wyboru, musi uciekać. Wiele osób w takich sytuacjach wyjeżdża najpierw do miast we własnym kraju, ale one są niebezpieczne, trudno w nich znaleźć pracę. W ludziach rodzi się więc marzenie: chcę się dostać do Europy. I trudno się temu dziwić.

**Większość osób jednak nie wyjeżdża. Wprowadzasz w książce pojęcie „bezru-
chu”, które przez specjalistów od migracji
środowiskowej uważane jest za problem
nawet poważniejszy niż sama migracja.**

– „Bezruch” opisuje sytuację, w której najbardziej niebezpieczni zostaną uwięzieni w miejscach nie do życia. Nie będzie ich stać na migrację i będą dogorywać nękani przez ekstremalne zjawiska, jak susze, tornada czy powodzie. Będą żyli w suszy, w nieludzkich warunkach, bez żadnej nadziei. Powinniśmy się temu bacznie przyglądać, już teraz myśleć o rozwiązaniach. Tylko że „bezruch” nie wpływa bezpośrednio na nas na Zachodzie, jest więc zjawiskiem słabo badanym. Zamierzam się tym w przyszłości zająć.

Krążysz nie tylko po kontynentach i krajach, ale również po językach, które różnie nazywają zjawiska związane z przyrodą.

– Świadomie buduję narrację w książce wokół metafory motyli monarchicznych, bo one zabierają mnie w podróż w czasie i przestrzeni: z epoki lodowców do krainy

centrów danych, a potem od meksykańskich ludów rdzennych nad Eufrat. Zwróciłem się ku ludom rdzennym, ich językom, bo przeczytałem, że społeczności rdzenne stanowią 5 procent światowej populacji, a mieszkają na terenach, które stanowią 80 procent terenów bioróżnorodnych. Czyli potrafią o nie dbać, znaleźli sposoby poszanowania istot niehumanicznych i bycia w świecie, które ich od tego świata nie oddzielają. Byłem ciekawy, jak to się odbija w języku. Dlatego wymyśliłem sobie, że nauczę się języka jodeł religijnych.

Języka jodeł?

– Chciałem opisać meksykański las, w którym zimują motyle monarchiczne, ale zdałem sobie sprawę, że nie potrafię. Postanowiłem się wybrać na spotkanie z opiekunem lasu wywodzącym się z ludów rdzennych, o którym mówiono, że znał język jodeł. Ta metafora mnie uwiiodła. Widział samotne, wysychające jodły, które przekazują zasoby wody okolicznym córkom, i mówił, że w tych suchych igłach wyraża się krzyk drzew. Niestety, ten człowiek zmarł kilka dni przed naszym spotkaniem.

Kluczową dla mnie rozmową była ta z Tiokasinem Ghostorsem, rdzennym północnoamerykańskim radiowcem, działaczem na rzecz środowiska. Opowiedział o zajęciach dla aktywistów ekologicznych. Prosi ich, by opowiedzieli coś o sobie w kontekście swojej pracy. Każdy wtedy mówi: „moje badania”, „mnie ciekawi”, „ja zajmuję się”. Dużo jest tam „ja”. A zdaniem Tiokasina „ja” oddziela człowieka od natury, to pierwsze słowo bariera. Wyjaśnił, że „nie bronimy Matki Ziemi. Jesteśmy Matką Ziemią chroniącą samą siebie”. Poczulem wtedy, że on rozumie coś, czego my w zachodniej kulturze nie pojmujemy, bo nasza cywilizacja wytyczyła granicę między światem „kultury” i „natury”.

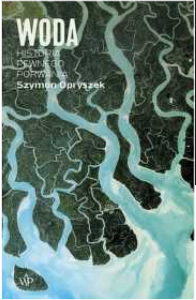
Dlatego opisujesz świat mitów, wierzeń, podań związanych z wodą?

– Na Zachodzie katastrofa klimatyczna jest technicznym problemem do rozwiązania, opisanym językiem liczb. Czułem potrzebę, by zderzyć ten naukowy język z czymś kompletnie innym. Wierzę, że opowieści i metafory od zarania dziejów pomagają człowiekowi zrozumieć jego relację ze światem. To one poruszają serca.

Mówiąc o antropocenie, krytykując go, cały czas stawiamy siebie w centrum. Pewnie chodzi nam o uratowanie losu naszej cywilizacji, a nie o inne istoty żyjące. Moi rdzenni bohaterowie podkreślają natomiast, żebyśmy te istoty traktowali jako równe sobie.



FOT. KAROL GRYGORUK/RATS AGENCY



Dziś
pracuję uważniej.
Kiedyś, pisząc
reportaż o zużyciu
plastiku, pojechałem
do Kenii i Meksyku,
niepotrzebnie
naprodukowałem
masę CO₂.
Dziś bym tego
nie powtórzył,
znalazłbym historie
bliżej mnie albo
porozmawiał online,
z kim się da

Woda jako sąsiad, a nie zasób.

– W świecie akademickim już od lat 70. toczyła się dyskusja na temat nadania osobowości prawnej rzekom, drzewom, górcom. Dziś powoli przestaje to być uznawane za dziwactwo. Ekwador przyznał naturze prawo do obrony w 2008 roku. W Kolumbii, Nowej Zelandii czy Kanadzie rzeki dostały osobowość prawną. Podobny ruch działa dziś np. wokół Odry po ubiegłorocznej katastrofie. Mam nadzieję, że to doprowadzi do końca narracji o tym, że Ziemia jest naszą poddaną, która daje nam surowce, a my mamy prawo do kopania, niszczenia i wycinania.

Walka o prawa przyrody bywa kontrowersyjna, ale też ryzykowna.

– To niebywałe, ilu aktywistów rocznie ginie z powodu zaangażowania w obronę natury. Międzynarodowa organizacja pozarządowa Global Witness sporządza takie raporty: co roku na świecie mordowanych jest ponad 200 osób broniących terenów bioróżnorodności. Królują Kolumbia, Filipiny i Meksyk. W tym ostatnim kraju w latach 2012-19 doszło do prawie 500 ataków na aktywistów ekologicznych, co czwarty z nich tracił życie.

Często za napaści odpowiadają korporacje międzynarodowe – choćby w Kolumbii miejscowa rozlewnia znanego napoju gazowanego została oskarżona o współpracę z organizacjami paramilitarnymi i o napaść na byłych związkowców, którzy podnosili też kwestie środowiskowe.

Zmieniła cię ta książka?

– Temat kryzysu wodnego nauczył mnie pokory i wrażliwości wobec świata pozaludzkiego. Pracuję uważniej, bardziej świadomie. Kiedyś, pisząc reportaż o zużyciu plastiku, pojechałem do Kenii i Meksyku, niepotrzebnie naprodukowałem masę CO₂. Dziś bym tego nie powtórzył, znalazłbym historie bliżej mnie albo porozmawiał online, z kim się da.

Reportażu o motylach monarchicznych nie napiszesz przez Zooma.

– Do Meksyku faktycznie poleciałem, do Iraku też, wszędzie tam, gdzie było to absolutnie konieczne. Ale z bohaterami z Kolumbii czy Ekwadoru rozmawiałem online, sprawę ułatwiało, że tych ludzi poznałem w trakcie podróży sprzed lat. Z Marią Hwranek zrobiłem w Argentynie reportaż o pestycydach na wielkopowierzchniowych uprawach soi, byłem w Brazylii, gdzie doszło do ogromnej katastrofy ekologicznej, kiedy zawałiła się tama składająca pokopalniane odpady, opisywałem nielegalne kopalnie

złota, zanieczyszczenia wód przez rtęć, ale też plastik... Woda towarzyszyła większości moich reportaży, ale długo była drugoplanową bohaterką. Teraz chciałem oddać jej głos.

I postanowiliście napisać książkę?

– Kluczowym momentem były narodziny mojego syna Gucia. Kiedy czekaliśmy, aż się urodzi, dużo się mówiło o dniu zero w Kapsztadzie – miało tam dojść do całkowitego wyczerpania zapasów wody pitnej. W 2018 roku Kapsztad był na skraju takiej sytuacji, spowodowanej ciężką suszą, która trwała przez wiele lat. Śledziłem ten temat, zacząłem zgłębiać raporty o stanie wód na świecie, zdałem sobie sprawę, że w 2050 roku, kiedy Gucio dobieje trzydziestki, 3 miliardy ludzi będzie cierpiało z powodu niedoboru wody, zapotrzebowanie na wodę wzrośnie o 55 procent, wyginie (w zależności od badań) od 16 do 40 procent gatunków zamieszkujących obecnie naszą planetę, a w oceanach będzie więcej plastiku niż ryb.

Ta książka wzięła się ze strachu o jego przyszłość. Pracowałem nad nią kilka lat i nagle się okazało, że nie nadążam za zmianami klimatu. Rekordy temperatur czy tempo topnienia pokrywy lodowej na biegunach, które wypisałem sobie na początku pracy, dziś są już nieaktualne.

„Zapotrzebowanie przemysłu węglowego w Polsce pochłania 64 procent poboru wody w kraju. Średnia globalna to 6,8 procent” – piszesz. W jakiej Polsce będzie żył Gucio?

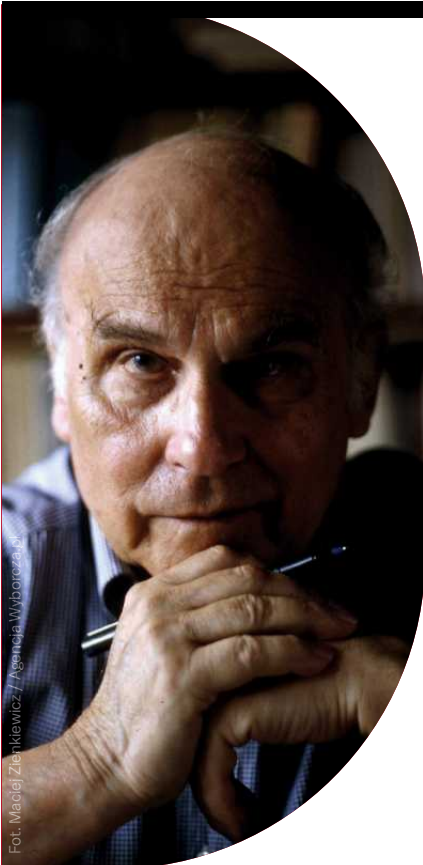
– Tego się właśnie obawiam. Sytuacja na Odrze obnaża zapaść polityki wodnej. Wycinamy lasy, regulujemy rzeki, niszczymy mokradła, przekopujemy Mierzęcę Wiślaną – to wszystko pogłębia kryzys. Wprowadzone w 2018 roku prawo wodne wpłynęło np. na stan polskich wodociągów – dziś większość z nich jest zadłużona. Mógłbym mnożyć przykłady.

Chwytam się jednak nadziei. Sytuacja w Kapsztadzie pokazała, że w obliczu tragedii ludzie mogą być solidarni. Wielu bohaterów mojej książki, np. strażnik motyli Home-ro Gomez Gonzalez czy jordańskie hydrauliki, przełamuje ograniczenia i pokazuje, że rewolucja w myśleniu o wodzie rodzi się wolno, ale jest możliwa. To samo w Polsce: dziś wiele osób angażuje się w inicjatywy np. wokół Odry czy Puszczy Karpackiej.

Mam wrażenie, że zrozumieliśmy, że przyszłość się już dzieje. To pierwszy krok do zmian. ●

Książka Szymona Opryska „Woda. Historia pewnego porwania” ukazała się w Wydawnictwie Poznańskim 17 maja br.

O G Ł O S Z E N I E



Prezentujemy
5 książek finalistek

14. EDYCJA

Więcej przeczytasz na wyborcza.pl/kultura



ORGANIZATOR
I FUNDATOR NAGRODY



Warszawa

WSPÓŁORGANIZATOR

wyborcza.pl

PARTNER

KSIAZKI

Pusta Pontedera

AKTORZY ODESZLI



Wszystko zaczęło się od wolności, a skończyło na władzy. Czy jest możliwe stworzenie wspólnoty, która będzie miała tylko moc uzdrawiającą?

Z **ANIELĄ GABRYEL**, REŻYSERKĄ
FILMU DOKUMENTALNEGO „RADICAL MOVE”,
ROZMAWIA **URSZULA JABŁOŃSKA**

Jak poznałaś aktorów kultowego Workcenter Jerzego Grotowskiego i Thomasa Richardsa w Pontederze we Włoszech? – Po raz pierwszy poszłam na ich spektakl we Wrocławiu w 2016 roku, był to opus „The Living Room”. Widz wchodzi do sali, w której scenografia jest zbudowana jak pokój dzienny – miejsce spotkania z drugim człowiekiem. Do widzów podchodzą aktorzy i proponują im coś do jedzenia i picia. W trakcie spotkania rozgrywa się zdarzenie performatywne, żywy strumień działań opartych na pracy z pieśniami tradycyjnymi oraz tekstami. Założeniem twórców jest poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, czego potrzeba, abyśmy „przebudzili się zwróceniu ku samym sobie, drugiemu człowiekowi i światu”. To było dla mnie mocne przeżycie – od strony artystycznej i osobistej. Od razu po zobaczeniu sztuki byłam pewna, że chcę zrobić film o tym, czego tam doświadczyłam. Nie było łatwo wejść w ten świat. Udało się to dzięki temu, że spotkałam na swojej drodze wspaniałe kobiety, z którymi stworzyłam mocny zespół filmowy.

O Jerzym Grotowskim, założycielu Workcenter w Pontederze, mówi się dziś, że jest guru i wizjo-

• Film „Radical Move” w reżyserii Anieli Gabryel będzie można zobaczyć podczas Krakowskiego Festiwalu Filmowego, który odbędzie się w dniach 28.05-04.06. Więcej informacji na www.krakowfilmfestival.pl



nerem, że na zawsze odmienił oblicze teatru. Kim był dla ciebie?

– Czytałam jego teksty już w liceum. Niemożliwe jest mówienie o nim obiektywnie, można mówić o „moim Grotowskim”, ponieważ każdy widzi jego twórczość inaczej. Mnie najbardziej u niego interesował proces poszukiwania „tego, co nie zgnije wraz z ciałem”. I to, jak pisał Dariusz Kosiński w książce „Polski teatr przemiany”, że w tego rodzaju teatrze „działalność artystyczna staje się rodzajem praktyki duchowej”.

Moment pełni zwykle wydarza się niespodziewanie, a Grotowski pracował nad tym, żeby to nie było przypadkowe, tylko codzienne, możliwe do przeżywania.

Dla mnie najważniejsza w wizji Grotowskiego była koncepcja teatru jako działania, które odbywa się tu i teraz, które pozwala na przemianę aktora, czyli „czyniącego”, i widza, czyli „świadka”. Teatr był dla niego drogą pracy nad sobą, doświadczania bycia żywym, uruchamiania całego swojego istnienia. Nie chodziło o opowiadanie historii, estetyczne scenografie, tylko o proces duchowej przemiany.

Duchowość jest dla ciebie ważna?

– Kiedy zaczynałam robić film „Radical Move”, byłam na etapie poszukiwań. Rozczarowana Kościołem katolickim, który od dzieciństwa był w moim życiu, szukałam płaszczyzny, na której potrzeba duchowości mogłaby się realizować.

Ona była wspólna dla kobiet z naszego zespołu filmowego. Była obecna podczas filmowania i w czasie długiego procesu montażu z Anną Garnarczyk.

To była głęboka tęsknota także za wspólnotą, a jednocześnie obawa przed byciem oszukany. Fascynował nas kontakt z transcendencją poza religią. Czuję, że jest to coś obecnego w naszym pokoleniu, pokoleniu ludzi, którym nie wystarcza religia.

Po śmierci Grotowskiego w 1997 roku Workcenter w Pontederze prowadzi jego uczeń i następca, Thomas Richards. Jak wygląda praca z nim?

– Kiedy zaczynałyśmy pracę nad filmem, w zespole było dziewięciu aktorów z całego świata: z Kanady, Francji, Kolumbii, Brazylii. Wszyscy mieszkali wokół

małych miejscowości Pontedera i Vallicelle we Włoszech, niektórzy razem, inni w oddzielnych mieszkaniach.

I codziennie, punktualnie o dziewiątej rano elegancko, ale wygodnie ubrani zaczynali pracę od sesji śpiewania. W tej pracy istotne było założenie, aby znaleźć swoją pieśń, którą będzie się śpiewało przez wiele lat. Codziennie trzeba było ją śpiewać tak, jakby robiło się to po raz pierwszy. Było to narzędzie do pracy nad sobą, do tego, aby to, co znane, odkrywać każdego dnia na nowo.

Potem była praca nad spektaklami, nad tekstem oraz indywidualne sesje aktorskie z Thomasem. To trwało do godziny 18, a czasem dłużej, jeżeli przygotowywali się do jakiegoś wyjazdu lub jeśli trwały warsztaty, które prowadzili.

Czyli aktorzy całymi dniami wykonują coś, co Thomas Richards nazywa „pracą” – „the work”. Co to właściwie znaczy?

– Same długo nie rozumialiśmy, czym jest to „the work”. Nadal pozostało to pewną tajemnicą. W filmie staramy się pokazać, czym jest „the work” – czymś, co jest niewyraźne w słowach, tematem bardziej do przeżycia niż do definicji. W trakcie naszego towarzyszenia aktorom okazało się, że „the work” niesie ze sobą także niebezpieczeństwo dla tych, którzy ją wykonują.

Jak aktorzy tam trafiali?

– Pierwszy wybór aktorów do zespołu miał ponad stu chętnych. Z tych stu osób kilka zostało zaproszonych na stałe. Potem zdarzało się, że podczas warsztatów pojawiali się aktorzy, którzy chcieli pracować z Thomasem i pytali go o to. W taki sposób został skompletowany zespół, o którym zrobiliśmy film.

Ci ludzie mieszkają tam nawet od kilkunastu lat i całe dnie spędzają na próbach. Jakie są ich motywacje?

– Podczas kręcenia filmu dużą część czasu mieszkaliśmy z bohaterami, jedliśmy wspólnie, razem wychodziliśmy na próby i razem wracaliśmy. Podczas prób stawaliśmy się częścią zespołu.

Wraz z autorką zdjęć Zuzanną Kernbach i dźwiękowczynią Anną Rok prowadziłyśmy z aktorami wiele głębokich rozmów. Wywiady w filmie są ich echem. Jeżeli chodzi o motywację, to jeden z bohaterów na przykład powiedział, że kiedy żył tym takim zwyczajnym, burżuazyjnym życiem w Paryżu, czuł się „jak w kole nakręcanym pustką”, było w nim pragnienie przeżycia życia bardziej w pełni i dlatego zrobił ten radykalny krok, „radical move”. Inni chcieli się doskonalić w rzemiośle artystycznym, aktorskim, związanym z pieśnią, z ruchem.

Takie życie wiąże się także z ogromnym poświęceniem. Jedna z bohaterek filmu mówi wprost, że musiała poświęcić macierzyństwo.

– To, co tam przeżywali, zmieniało się na przestrzeni lat. Chociaż rzeczywiście ich życie było w dużej mierze podporządkowane „pracy”.

Wizyty w Pontederze zainspirowały mnie do stawiania sobie ważnych pytań. O granice w sztuce, w relacji. Gdzie kończy się uzdrawiająca moc relacji, a gdzie zaczyna się cierpienie? Kiedy oddajesz się jakiemuś procesowi po to, żeby doświadczyć czegoś więcej, a kiedy przekraczasz już swoje granice i to staje się niszczące?

Pracowałaś nad filmem w momencie, kiedy w centrum ewidentnie zaczęło się coś psuć. Aktorzy zaczęli odchodzić. Z jakimi problemami się mierzyli?

– Mam wrażenie, że dominowało poczucie, że ta praktyka pochłania całe ich życie, także osobiste. W filmie padają słowa, że wszystko zaczęło się od wolności, a skończyło się na władzy.

Zrozumiałam, że taka praca, poszukiwanie tego, co jest poza ciałem, niesie ze sobą wiele niebezpieczeństw. Podczas takich poszukiwań człowiek jest bardzo odsłonięty, podatny na zranienie. Film stara się dotknąć tego tematu, a raczej dać widzowi to odczuć.

To uniwersalne zagadnienie, które dotyczy wszystkich relacji, nie tylko w sztuce.

– Zwłaszcza jeżeli są to relacje, które sprawiają, że czujemy się wyjątkowi, więc otwieramy się na nie, oddajemy się. A potem po czasie dostrzegamy, że nasze granice są przekraczane. Kiedy w relacji jesteśmy wolni, a kiedy zniewoleni? Czy jest możliwe stworzenie wspólnoty, która będzie miała tylko moc uzdrawiającą? Przez to, że jest w nas tęsknota za wspólnotą, większe jest niebezpieczeństwo takiego splątania.

Mam wrażenie, że twój film pokazuje, że powoli kończy się era pewnego rodzaju sztuki, który był popularny zwłaszcza w latach 60. i 70., kiedy aktorzy byli marionetkami w rękach reżysera. Zamknięcie kultowego Workcenter Jerzego Grotowskiego i Thomasa Richardsa jest dla mnie symbolem tego końca.

– Wydaje mi się, że takie radykalne spalanie się dla sztuki to było echo traum wojennych, także u Gro-



Aniela Gabryel

– reżyserka filmowa. Absolwentka wiedzy o teatrze na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz reżyserii w Łódzkiej Szkole Filmowej. Jej pełnometrażowy dokument „Kiedy ten wiatr ustanie” otrzymał nagrodę na festiwalu IDFA w 2016 roku. Obecnie kończy pracę nad debiutem fabularnym.

FOT. KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY (2)

*W tej pracy
istotne było założenie,
aby znaleźć swoją pieśń,
którą będzie się śpiewało
przez wiele lat*

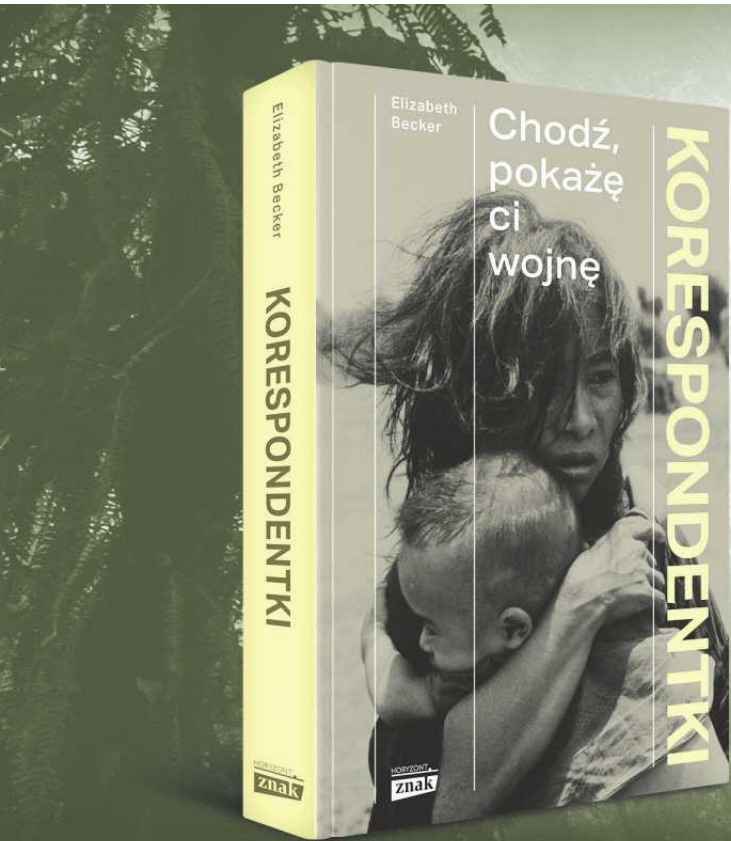
towskiego. Nastąpiła zmiana pokoleniowa, mamy brak zaufania do hierarchii i autorytetów. Chcemy działać kolektywnie, prowadzić dialog.

Ja także do tego doszłam, do takiego punktu w swoich artystycznych poszukiwaniach, gdzie zrozumiałam, że mam jedno życie i że tej pełni nie znajdę w jednej praktyce. Chcę móc iść z synem do lasu, a nie poświęcać wszystko, żeby zrobić świetny film.

Aktorzy odnaleźli się w świecie poza Pontederą? Dalej działają w teatrze?

– Robią różne rzeczy. Jeden z bohaterów wykłada aktorstwo i reżyseruje. Inny dalej chce rozwijać pracę z pieśniami. Są wspaniałymi artystami. Mają świetne rzemiosło, wielki talent i potencjał.

Poza filmem dokumentalnym w Pontederze nakręciliśmy także opus „The Living Room”. Kręciliśmy go na jednym ujęciu przez ponad godzinę. Niedługo planujemy premierę także tego filmu i mam nadzieję, że oglądając go, będzie można poczuć niezwykłą moc aktorów i tego, czego pomimo trudów dokonali. ●



**TRZY KOBIETY,
TRZY HISTORIE,
JEDNA WOJNA.**

JUŻ W SPRZEDAŻY!

Finaliści 14. edycji Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego

CHRISTINA LAMB

Milczę i słucham

Wierzę, że wciąż potrzebujemy prawdziwych ludzi z prawdziwymi historiami



Wój pierwszy reportaż?

Podróż do Kandaharu w południowym Afganistanie w 1988 roku, na motocyklach afgańskich mudżahedinów, którzy walczyli z rosyjskimi okupantami i żywili się czerstwym chlebem i krabami błotnymi. Miałam dwadzieścia kilka lat. Od tamtej pory pasjonuję się Afganistanem, chociaż to, co dzieje się tam teraz, pod rządami talibów, jeśli chodzi o kobiety i dziewczęta, jest rozdzielające. To jedyne miejsce na Ziemi, gdzie dziewczęta mają zakaz wstępu do szkół średnich i na uniwersytety, a kobiety pracy zawodowej. Dlatego musimy robić więcej, by to zmienić.

Najtrudniejsza chwila w pracy

Kiedy byłam w autobusie Benazir Bhutto, pakistańskiej premierki, gdy został wysadzony w powietrze w 2007 roku. Zginęło wtedy 150 osób. My miałyśmy szczęście, że przeżyłyśmy.

A najprzyjemniejsza?

Kocham swoją pracę, więc jest ich mnóstwo! Choćby taniec podczas karnawału w Rio. Albo gdy ostatnio wybrałam się na szaloną wycieczkę łodzią wzdłuż Afryki Zachodniej po wodach opanowanych przez piratów.

I chociaż spędzam dużo czasu w tzw. złych miejscach, spotykając tam złych ludzi, to równie często spotykam właśnie tam najbardziej niesamowite osoby, z których wiele to kobiety. Miałam też szczęście pracować z niesamowitymi ludźmi, takimi jak Malala i Nujeen, uchodzący z Syrii, którzy drogę z Aleppo do Niemiec przebyli na wózku inwalidzkim.

Jak otwieram bohatera

Urok, wytrwałość, wcześniejsze przygotowanie, żebym mogła ich czymś zaskoczyć, a czasem po prostu milczenie i słuchanie. Skupiam się na tym, co wojna robi z kobietami, a w szczególności słucham o gwałtach na wojnie, co oznacza, że rozmawiam z głęboko strauumatyzowanymi ludźmi o najtrudniejszym dniu ich życia. Nauczyłam się dzięki temu, jak ważne jest danie sobie i innym czasu na opowiedzenie ich historii tak, jak chcą, tam, gdzie chcą, i z możliwością wzięcia oddechu.

Książka, która mnie zmieniła

„Kim” Rudyarda Kiplinga za niezwykle plastyczny opis Indii na przełomie wieków; „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety” Swietłany Aleksijewicz za zdumiewający pastisz historii zwykłych kobiet i ukazanie tego, że są prawdziwymi bohaterkami wojny; „Wojna futbolowa” Ryszarda Ka-



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Christina Lamb

– korespondentka „The Sunday Times”. Relacjonowała wydarzenia z większości miejsc na świecie, od Afganistanu po Ukrainę. Zdobyła wiele nagród, w tym pięciokrotnie tytuł Brytyjskiego Korespondenta Zagranicznego Roku oraz Prix Bayeux, najbardziej prestiżową europejską nagrodę dla korespondentów wojennych. Jest autorką dziesięciu książek, w tym „Nasze ciała, ich pole bitwy. Co wojna robi kobietom” (nominowanej do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego). Mieszka w Londynie i Portugalii.



Dzisiaj jestem dorosła, marzę o...

Mieszkaniu nad morzem i pisaniu powieści. I żeby świat był spokojniejszym miejscem.

Odpoczywam, gdy...

Jestem z rodziną i bliskimi, chodzę boso po portugalskiej plaży, siedzę w teatrze, słucham bossa novy, wychodzę z przyjaciółmi na kolację, czytam powieści...

Dziennikarstwo dziś...

W czasie wojny w Ukrainie jest ważniejsze niż kiedykolwiek. Ta pełnoskalowa wojna w Europie jest wydarzeniem, którego nigdy nie wyobrażałam sobie w swoim życiu. Dziennikarstwo dziś jest także po to, by pomóc ludziom przekopać się przez grzęzawisko informacji w czasach fake newsów, w których odmiennosc jest zbyt często postrzegana jako niebezpieczna. Wierzę, że wciąż potrzebujemy usłyszeć prawdziwych ludzi z prawdziwymi historiami, a wszystko po to, by dać nam nadzieję na przyszłość.

Cena, jaką płacę za bycie reporterką

Nigdy nie wiem, gdzie i kiedy będę. Tęsknię za ślubami, urodzinami i przyjęciami u moich znajomych i bliskich. Bycie z dala od mojego syna i męża. Bycie zamęczaną przez social media. Spanie w okropnych miejscach i czekanie pośrodku niczego na samoloty, które nigdy nie nadlatują.

Ale i tak nie umiałabym robić niczego innego. ●

Pytała Zuzanna Bukłaha

puścińskiego, ponieważ pokazał mi, że reportaż może być również literacki. Tę ostatnią książkę podarowałam wielu młodym dziennikarzom.

Czego reporterowi nie wolno

Wymyślać cytatów, zmieniać faktów i manipulować nimi, udawać, że gdzieś się było, narażać innych na niebezpieczeństwo oraz stawiać się ważniejszym niż historia, o której opowiadamy.

Gdy byłam dzieckiem, marzyłam o...

Mieszkaniu na poddaszu i pisaniu powieści.

OGŁOSZENIE

**NAGRODA
im. RYSZARDA
KAPUŚCIŃSKIEGO**

34242496

ORGANIZATOR I FUNDATOR NAGRODY



Warszawa

WSPÓŁORGANIZATOR

wyborcza.pl

PARTNER

KSIĄZKI

Z ręką w nocniku

Anderman



W ciągu ostatnich dziesięciu dni zaszły w naszym kraju ważne wydarzenia. To pierwsze słowa mowy Gomułki, wydrukanej 19 marca 1968 roku. Słowa „w ciągu ostatnich dziesięciu dni” możemy zastąpić sformulowaniem: „w ciągu ostatnich ośmiu lat”. Upoważnia do tego fakt, że funkcjonariusze PiS z niezwykłą łatwością przyswoili sobie retorykę towarzysza Wiesława – nawet ci, których nie było wówczas na świecie – i z zapalem ją stosują. Przynosi to efekty wśród własnego elektoratu, ale istnieje realne niebezpieczeństwo ocknięcia się z ręką w nocniku.

Oczywiście „ważne wydarzenia” z majaczenia Gomułki zastąpmy dla ułatwienia słowami: „wydarzenia zdumiewające”.

Przyjemnie zdumiała publiczność arcyważna decyzja szefa NBP o wybiciu nowej monety dla zapalonych kolekcjonerów. Moneta tak wzruszająco się nazywa, że wywołuje szloch: „W Polskę wierzę – Polska rodzina”. Wydaje się, że przymiotnik „polska” powinien być napisany małą literą, ale nie czepiajmy się drobiazgu, bo po co? Ważny jest awers i rewers.

A więc na awersie mamy modelową polską rodzinę – parę dorosłych z czworgiem dzieci. Jak wiadomo, rodzi się u nas najmniej dzieci od czasu zakończenia II wojny światowej, lecz nie szkodzi, gdyż taka właśnie rodzina jest marzeniem prezesa PiS, choć sam się do realizacji tego marzenia nie przyłożył. Nad rodziną rozpościera się dach i można się domyślać, że to dach nad jednym z milionów mieszkań, które wybudował Mateusz Morawiecki. Dach jest dwuspadowy i typowo polski – jedna część jest biała, druga czerwona. Tu natykamy się na nie-

pojęty symbol: ojciec rodziny lewą ręką podtrzymuje tę czerwoną część dachu, jakby się obawiał katastrofy budowlanej. Można to interpretować dwojako: czerwone zawsze jest groźne lub że dom Morawieckiego wznoszony był w pośpiechu i może grozić zawaleniem.

Gorzej przedstawia się rewers: znów mamy tę rodzinę, ale gdzieś zawieruszyło się czwarte dziecko. Co prawda ojciec dzierży w dłoni uchwyt wózka dziecięcego, ustawionego w pozycji pionowej, ale z wózka wypada na ziemię nie ta zagubiona dziecina, tylko rozwścieczony kot z wysoko podniesionym ogonem. Jedna z dziewczynek na tym obrazie trzyma flagę, lecz nie ma ona żadnych barw, co wydaje się niefrasobliwością pomysłodawcy. Zaraz zresztą naprawia on swój błąd i nad rodziną umieszcza wielkie białe-czerwone serce, bo jak powszechnie wiadomo, Polacy mają inaczej niż wszyscy ludzie i ich serca są dwubarwne. Jedno tylko niepokoi – zmiany w wyglądzie rodziców, które nastąpiły podczas ich przemieszczania się z awersu na rewers. Wydaje się, że i matkę, i ojca dotknęło galopujące wodogłowie, gdyż głowy mają szersze od ramion. Trójka dzieci ma się pomyślniej: trzy dziewczynki opanowała jedynie katatonnia i wesoło zastygły w pozycjach poziomych.

A jednak jest dobry interes do zrobienia. Moneta o nominale 10 zł kosztuje 220 zł.

Temat dziecięcy, jak to przed wyborami, jest przez PiS z zapalem eksploatowany. Tak zwaną „społeczną inicjatywę”, która ma na celu wprowadzenie ustawy zakazującej seksualizacji dzieci, poparł wytrawny znawca zagadnienia, sam prezes: „Chodzi o to, by dzieci nie były poddawane praktykom, które są dla nich z pewnością szkodliwe”.

Temat podchwycił także minister Czarnek i naprawdę warto przytoczyć jego mądre słowa: „Jeśli w jakimś środowisku rodzice są tak skrzywieni, że wyraziliby zgodę na uczestnictwo dzieci w zajęciach z edukacji seksualnej prowadzonej przez organizację pozarządową, to zgodnie z art. 72 konstytucji państwo może tego zabronić, bo ma obowiązek chronienia dzieci przed

demoralizacją. (...) Dziś w Polsce przytłaczająca większość rodziców zachowuje się prawidłowo”.

To niedopatrzenie, ale art. 72 konstytucji nie mówi o seksualizacji dzieci, a tym bardziej o edukacji seksualnej. To nic.

Najgorsze w tej inicjatywie jest coś innego, przez co PiS może się obudzić z ręką w nocniku. Bo jeśli planowana ustawa wejdzie w życie, będzie – o czym nikt nie pomyślał – potężnym uderzeniem w Kościół. Działa w nim przecież wielu fachowców od seksualizacji dzieci i jest pewne, że bardzo się na PiS obrażą. Lepiej się więc z tego pomysłu cichcem wycofać, tym bardziej że tyle frapujących pomysłów rodzi się w pisowskich głowach. Choćby pro-

sował na większą skalę instytutu, który utrzymuje tego rodzaju ludzi, którzy po prostu obrażają Polaków”. Ten wraży instytut to Instytut Filozofii i Socjologii PAN, który zatrudnia prof. Barbarę Engelking, podważającą w swej pracy naukowej niepodważalną prawdę, że wszyscy Polacy wprost prześcigali się w trakcie wojny w ratowaniu Żydów.

Pieniądze to jedno, ale ministerstwo przyznało Instytutowi niską kategorię naukową, co uniemożliwia mu nadawanie doktoratów z filozofii. Przy okazji: ciekawe, jaką kategorię naukową otrzyma nowo powstały przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Instytut Nauk Medycznych, którego szefową została Katarzyna Czarnek? Oby minister

Jeśli planowana ustawa wejdzie w życie, będzie potężnym uderzeniem w Kościół. Działa w nim przecież wielu fachowców od seksualizacji dzieci i jest pewne, że bardzo się na PiS obrażą. Lepiej się więc z tego pomysłu cichcem wycofać

jekt gruntownego przekopania terenów Wielkich Jezior Mazurskich, tak by utworzyć tam gigantyczną pętlę. Budowa ma się zacząć w tym roku, co radośnie zapowiedział wiceminister Gróbarczyk. Co prawda teren budowy jest objęty ochroną w ramach programu Natura 2000 i jakiegokolwiek działania wymagałyby negocjacji z Unią Europejską, ale czy warto się tym turbować? Szybko, zanim się Unia dowie, przekopać i już będzie się można kręcić po jeziorach w kółko aż do zawrotów głowy.

Ale za wiele jest trudnych spraw, są w ojczyźnie rachunki krzywd zbyt poważne, byśmy się skupiali na płoczej zabawie. Tu warto wrócić do ministra Czarnka i pokazać, jak się te rachunki krzywd wyrównuje: „Na pewno będę rewidował swoje decyzje finansowe, bo ja nie będę finan-

nie był zbyt surowy.

Pod protestem w obronie wolności badań naukowych podpisało się ponad 1000 uczonych. W Polskim Radiu 24 zagadnięto Czarnka, czy widział nazwiska. „Oczywiście widziałem. Analizujemy, z jakich uczelni to jest, i będziemy na to reagować. Nie ma pozwolenia na to, żeby coś, co nauką nie jest, tylko zwykłym chamstwem antypolskim, było finansowane za pieniądze Polski” – wygarnął bez namysłu. A szkoda.

Janusz Anderman

POLSKA MISTRZEM POLSKI

TOMASZ LEŚNIAK &
RAFAŁ SKARŻYCKI

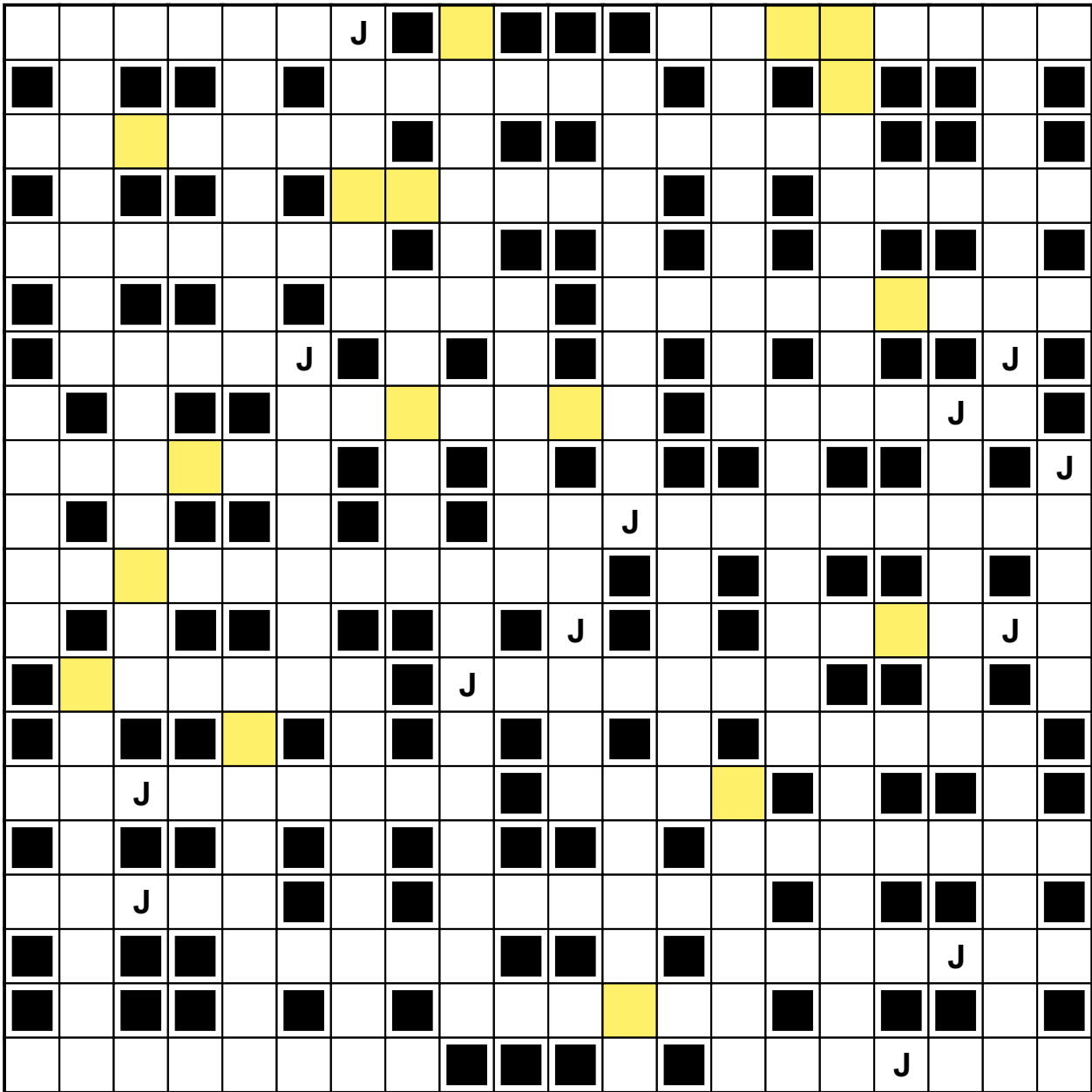


jolka

51

Objaśnienia podane są w kolejności alfabetycznej. W diagramie ujawniono wszystkie litery J. Miejsce wpisywania wyrazów – do odgadnięcia. Litery w kolorowych polach, odczytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- bizonie błonie
- boży – w tytule powieści Andrzeja Sapkowskiego
- chaos, bezład (anagram wyrazu „proteina”)
- „Czerwone ...”, powieść Jo Nesbø
- damy Jokohamy
- delektuje się wyszukanyimi potrawami
- dobre – w przysłowiu o wybrukowanym piekle
- drogocenny wyrób jubilerski
- Emilia-..., region w północnych Włoszech
- Ewelina, szlachcianka, żona Balzaka
- film Christophera Nolana, którego bohaterowie przenikają do ludzkich umysłów
- Gerwazy ze Scyzorykiem
- górski lub DNA
- imię Hetfielda, wokalisty i gitarzysty Metaliki
- Janne, utytułowany skoczek narciarski
- Joe Alex – Słomczyński, Maurycy Zych – ?
- koncert dla uczczenia jubileuszu artysty
- kropki Jürgena
- krzykliwe ple-ple przekupek
- Kuleczka Kosa
- kwiaty ze szczęśliwym trafem
- ... Menuhin (zm. 1999), wirtuoz skrzypiec
- można powiedzieć, że to pies na dekolty!
- „Nas przed upadkiem chroni wciąż – ...”, w piosence Jacka Kaczmarskiego
- nazwisko odtwórcy tytułowej roli w filmie „Johnny”
- organizator i triumfator pierwszego mundialu
- pasażer cierpiący na biletofobię
- ... Phoenix, gwiazda filmu „Joker”



- ... Phoenix, zagrał w filmie „Moje własne Idaho”
- Phoenix ..., koszykarze z Arizony
- pieniądze bombajek, delhijek
- podane są w kolejności alfabetycznej
- podobny do łasicy, występuje m.in. w syberyjskich lasach
- poduszka powietrzna w aucie
- poetycko o okrętach
- potocznie utożsamiany z dzierzawą
- przyrząd gimnastyczny w postaci poziomej belki; bom
- przyrzeczenie
- rodaczka Lukrecji Borgii
- surowiec na tapiokę
- szefują fundacjom, spółkom akcyjnym
- „To była ... smutniejsza od łez, niebieska jak ziemi tło”
- ulubiona zabawa Temidy?
- uroczyste otwarcie wystawy
- ustawia żurawia

- Waldemar Michorowski z powieści „Trędownata”
- wieś w powiecie nowotarskim, z przejściem granicznym na Słowację
- Wilno – Wolin, Jałta – ?
- wyraz o znaczeniu ujemnym (np. dziewczynisko, urzędas)
- z jednorożcami lub przy głównej ulicy (w tytułach filmów)
- z założonymi rękami albo na księcia z bajki
- zabieg operacyjny polegający na ominięciu niedrożnego odcinka tętnicy przeszczepem
- znane ze zjazdu w 1000 r.
- „... zwane wyobraźnią”, wiersz Zbigniewa Herberta
- Zyta, pisarka („Krótka wymiana ognia”)
- żartobliwie o mężczyznach uosabiających negatywne cechy Polaków

Rozwiązanie z poprzedniego numeru: Błysk geniuszu.

Rzędami: przykład, świadomość, Yoko Ono, słupki, Ajrisz, sadz, narcyz, cwibak, Kserkses, Arwena, ekrany, kosogłos, Dancing Queen, apostazja, vademecum, spieszczenie, Ali-Babki, Alfons, krążek, Woreczko, guziki, Amanda, nuda, wampir, zaciąg, Siemion, Balcerkowa, smykalka.

Kolumnami: Clark, grzyb, stołp, Palau, zamiar, sierociniec, kogut, Kryzys, Stinger, Orzyc, Arkansas, zakład, Dale, masyw, Bobrówna, inżynier, włosy, Cave, Azjaci, akwarium, Nadal, deszcze, równik, meble, Moulin Rouge, cymbał, Arnie, uskok, ćwiek, obraz.

Miej oko na jolkę

W aplikacji **KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ** znajdziesz więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych. **Pobierz za darmo**



KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34182171

Redaktor prowadzący: Mariusz Burchart (red. naczelny). **Zespół:** Ludmiła Anannikova, Katarzyna Bielas, Zuzanna Bukłaha, Piotr Gluchowski, Jacek Hugo-Bader, Włodzimierz Kalicki, Tomasz Kwaśniewski, Ariadna Machowska, Paweł P. Reszka, Katarzyna Surmiak-Domańska, Mariusz Szczygieł, Aleksandra Szyłto, Katarzyna Włodkowska, Marcin Wojcik, Aleksandra Zbroja, Anna Żebrowska. **Piszą dla nas:** Katarzyna Brejwo, Maciej Czarnecki, Magdalena Grzebałkowska, Urszula Jabłońska, Bartosz Józefiak, Ewa Kaleta, Anna Kiedrzynek, Michał Kokot, Oktawia Kromer, Damian Maliszewski, Iza Michalewicz, Wojciech Orliński, Ewa Pagowska, Renata Radłowska, Agnieszka Rodowicz, Joanna Strzałko, Violetta Szostak, Grzegorz Szymanik, Ewa Winnicka, Mirosław Wleki, Ewa Wołkanowska-Kotodziej. **Grafik:** Jacek Konarowski. **Projekt magazynu:** Jacek Utko. **Fotoedytor:** Rafał Wojciechowski. **Korekta:** Anna Książkowska. **Adres redakcji:** ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa. tel. 22 555 46 37, **e-mail:** duzyformat@wyborcza.pl. **Internet:** wyborcza.pl/duzyformat, instagram.com/duzyformat, https://www.facebook.com/TygodnikDuzyFormat, tiktok.com/@duzyformat **Dział reklamy:** tel. 22 555 55 55. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania.